

410 • MAJ 2025



INFORMATOR

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



YARKOS 2025



WESTERPLATTE PRZEZ KALKĘ

Piotr Kalka należy do tych osób, których aktywność bardzo wspiera działalność GKF-u – chociaż do naszego stowarzyszenia formalnie nie należą. Zgadaliśmy się przed laty, podczas współorganizowanych przez niego w Wejherowie ogólnopolskich starwarsowych zlotów ForceCon pod pomnikiem Vadera/Wejhera i w szklanych ścianach Filharmonii Kaszubskiej; od dłuższego czasu doskonale jest też znany czytelnikom „Informatora”. W niedzielę 25 maja zaś był naszym *cicerone* podczas zwiedzania Westerplatte – Piotr jest bowiem jednym z ekipy archeologów Muzeum II Wojny Światowej intensywnie pracujących w tym historycznym miejscu. Pomysł wycieczki zrodził się zresztą podczas drugiego Dnia z fantastyką na Śląskiej.

Przyznam uczciwie, że ja akurat Westerplatte odwiedzałem zawsze z dość mieszanymi uczuciami. Z jednej strony był to zawsze ogromny i szczerzy szacunek dla tego miejsca (raczej wręcz Miejsca!). Z drugiej zaś – przynębiało mnie jednak ewidentne zapuszczenie terenu dawnej polskiej placówki, czyli Wojskowej Składnicy Tranzytowej na obszarze ówczesnego Wolnego Miasta Gdańska. Trudno mi było sprecyzować te uczucia: wiadomo, że zniszczenia wojenne, wiadomo, że nie chodziło mi o jakąś równo przystrzyżoną trawkę czy pełne przywrócenie stanu z 1939 r. – jednak owe mieszane uczucia nie chciały mnie opuścić. Teraz chyba wiem, skąd one się brały. Za komunę stosunek władz do Westerplatte był wszak ambiwalentny: symboliczny początek II wojny światowej i legendarne bohaterstwo polskiego żołnierza – a jednocześnie pamiątka po Polsce przedwojennej, do tego na siłę wplatanie tego wszystkiego w peerelowską propagandę... Tak więc najbardziej eksponowany był, dość kontrowersyjny w wielu drobiazgach, pomnik. Nie lepiej było po odzyskaniu pełnej niepodległości – władze miasta (bez względu na opcję polityczną!) jakoś nie miały pomysłu, a może i serca, na Westerplatte (poza uroczystościami).

Miejmy nadzieję, że jest to już pieśń przeszłości. Ponieważ zakres robót prowadzonych na półwyspie od kilku dobrych lat budzi autentyczny podziw: szeroko zakrojone prace archeologiczne, odnalezienie i godne pochowanie większości obrońców, porządkowanie całości terenu, nowe obiekty udostępnione zwiedzającym. Nasz przewodnik zapewnił nas, że za dwa–trzy lata ten wspólny spacer byłby (będzie?) jeszcze ciekawszy: planowana jest odbudowa niektórych obiektów (m.in. części wartowni oraz magazynów amunicji/broni), w których znajdują miejsce kolejne eksponaty, będą też wytyczone nowe ścieżki i informacje dla zwiedzających (dlatego nie ma sensu renowacja dotychczasowych tabliczek). Natomiast nie zostanie odbudowany budynek koszar; zniszczony zresztą dopiero po wojnie (przez lata władze wczesnopeerelowskie realizowały genialny pomysł, by wewnątrz tego budynku detonować zwożone z całej okolicy niewybuchy – co widać po „rozepchanych” ścianach budowli). Takich ciekawostek z różnych okresów istnienia półwyspu Piotr opowiedział całe mnóstwo...

Był to bowiem wykład totalny i kompletny: od formowania się piaskowej łąchy (dlatego próżno tam szukać śladów średniowiecznego osadnictwa), poprzez okres kuracyjny przed wybuchem I wojny światowej (Westerplatte było wtedy popularnym kurortem), poprzez WMG i czas wojenny (nie tylko wrześniową wojnę obronną), po czasy powojenne (za PRL-u oraz III RP). Wszyscy uczestnicy stwierdzili zgodnie, że TAKIEGO zwiedzania Westerplatte to jeszcze w życiu nie mieli! Poza tym odwiedziliśmy obiekty nowe/odnowione, przeznaczone specjalnie dla odwiedzających Westerplatte turystów – Centrum Obsługi Zwiedzających oraz budynek dawnej elektrowni, w którym prezentowana jest nowa wystawa opowiadająca dzieje półwyspu poprzez zabytki odkryte podczas badań archeologicznych. Rozmawialiśmy też o przedstawieniach obrony w filmach i w powieści. Tu jednak zmilczę litościwie, gdyż ciągle najlepiej i najuczciwiej wypada klasyczny film – i to nakręcony w czasach cenzury (nie rozmawialiśmy akurat o bardzo starannym komiksie...).

Stawiła się nas całkiem spora grupka – po części w towarzystwie krewnych i znajomych. Wśród klubowiczów byli m.in. Damian Filipkowski i Michał Szklarski z rodzinami; redakcję „Informatora” reprezentowali Ogan, Yarkos, Bazyl oraz piszący te słowa PiPiDżej. Co zaś do osób towarzyszących – był też pasjonat i znawca historii Gdańska, a także wiekowy już pan, który poprzednio odwiedził to miejsce kilka dekad temu. Pięknie Ci dziękujemy, Piotrze!

INFORMATOR

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI



#410 • MAJ 2025

UKAZUJE SIĘ OD 1987 ROKU

FANDOM

Z życia GKF-u

Adam Cetnerowski

Majkon odnalazł formułę?

Damian Filipkowski

Zwracanie uwagi

Magdalena Świerczek-Gryboś

Quo vadis GKF? Do Zajdłowej urny

#Nie tylko barbarzyńcy – Anna Szumacher

INFORMACJE

Janusz Piszczek

Zapowiedzi wydawnicze

Artur Łukasiewicz

Filmowisko

Niusy

LITERATURA

Yorick

Żdźbło

Marcin Bartosz Łukasiewicz

Przekaz

PUBLICYSTYKA

Adam Cetnerowski

Powrót Top 10 – sezon 5, odcinek 5

Grzegorz Szczepaniak

Okrucy Ogana. Korespondencja 161

Krzysztof Szkurlatowski

Droga – czyli to jest kraj dla starych maszyn

Michał Bleja

Cyberpunk?

Artur Łukasiewicz

Oszukać przeznaczenie 6...

Tomasz Magulski

Tuesday i ptak zagłady

Andrzej Prószyński

Półka z DVD

KOMIKS

Jan Plata-Przechlewski, Grzegorz Szczepaniak

Nawet zbój ma swój znój

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

4

ADRES:

80-389 GDAŃSK

6

UL. ŚLĄSKA 66B

7

STRONA: GKF.ORG.PL

FACEBOOK: GKF.ORG.PL/FB

DISCORD: GKF.ORG.PL/DISCORD

9

KONTO BANKOWE:

VOLKSWAGEN BANK

42 21 30 0004 2001 0671 8241 0001

11

KRS: 0000098018

18

„INFORMATOR GKF”

22

ISSN 1505-8476

25

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

NAKŁAD 120

REDAKCJA:

JAN PLATA-PRZECHELEWSKI

24

GRZEGORZ SZCZEPANIAK

MARCIN SZKLARSKI

27

JAROSŁAW S. KOSIOREK (YARKOS)

ARTUR ŁUKASIEWICZ

MICHAŁ BLEJA

16

STAŁA WSPÓŁPRACA:

ADAM CETNEROWSKI

30

JANUSZ PISZCZEK

ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

36

TOMASZ MAGULSKI

ALEKSANDRA MAŁAJ

43

ADAM MATEJA

DAMIAN FILIPKOWSKI

46

ALEKSANDRA MARKOWSKA

MAGDALENA ŚWIERCZEK-GRYBOŚ

50

(NAZ)

E-MAIL:

INFORMATOR@GKF.ORG.PL

53

OKŁADKA:

JAROSŁAW S. KOSIOREK (YARKOS)

55

DRUK:

PRINT GROUP SP. Z O.O.

HTTP://PRINTGROUP.PL

PROTOKÓŁ Z POSIEDZENIA ZARZĄDU GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

21 MAJA 2025 R.

I. Sprawy personalne

1. Nowi członkowie:

- Artur Łukasiewicz

Zarząd postanowił o założeniu konta bibliotecznego dla nowego członka.

II. Sprawy organizacyjne

1. Zostały omówione najważniejsze bieżące sprawy dot. KRS i banku oraz nowej strony internetowej.
2. Zarząd ustalił Managera Strony w osobie Moniki Ginter.
3. Zarząd ustalił, że szkolenie dla nowych kluczników wykonują Kwatermistrz, Damian Filipkowski oraz Hubert Kozij.
4. Zarząd zaakceptował zmiany i zatwierdził Regulamin Działu Gier.
5. Zostały omówione propozycje dot. sprzątnięcia klubu oraz numeru alarmowego.
6. Zarząd omówił sprawę alkoholu w siedzibie i ustalił, zostanie sporządzony oddzielny dokument opisujący zasady spożywania i przetrzymywania napojów alkoholowych w klubie.
7. Zarząd przedyskutował podział ról i przydzielił zadania do realizacji.

Na tym posiedzenie zakończono.

KONKURS NA SHORT DO LITERACKIEJ POCZTY „INFORMATORA GKF” – OFICJALNE WYNIKI

Mamy przyjemność ogłosić Laureatów niedawno rozpisanego konkursu literackiego:

I miejsce – *Przekaz*, Marcin Bartosz Łukasiewicz;

II miejsce – *Na zawsze razem*, Wojtek Czarnecki;

III miejsce – *Lustrzane*, Małgorzata Lewandowska;

Wyróżnienie – *Roztrwonione szczęście*, Yorick.

Wszystkim Autorom serdecznie gratulujemy – i dziękujemy za znakomite materiały literackie do naszego klubowego periodyku!

Magdalena Świerczek-Gryboś (przewodnicząca jury) oraz redakcja „Informatora GKF”

PS.

W tym numerze publikujemy utwór głównego Laureata. W numerach następnych zamieszczani będą zdobywcy kolejnych miejsc – ale ich shorty mogą być publikowane naprzemiennie z innymi autorami.

/red./

ADAM CETNEROWSKI MAJKON ODNALAZŁ FORMUŁĘ?

Długi weekend majowy (w połączeniu z nową siedzibą) stworzył okazję, żeby spróbować coś zorganizować. Bardzo wąskie okienko czasowe nakazywało jednak ostrożność. Zrodził się plan zrobienia weekendowego konwentu, ale zamkniętego (tylko GKF i przyjaciele), aby ograniczyć potrzebę przygotowań, a jednocześnie zasygnalizować chęć spotkania. I wygląda na to, że się udało.

Najaktywniejsza była młodzież z Next Generation, która spędziła trzy dni, okupując do wieczora salę planszówkową – pierwsze dwa dni minęły pod znakiem długich gier, a trzeci to był dzień odprężenia przy imprezówkach (i trzeba przyznać: narastającej głupawce). W sali kinowej także nie zabrakło różnych rozgrywek przy planszy, ale były również gry RPG bez Mistrza Gry. Z zapowiadanego programu zabrakło jedynie pokazu filmu-niespodzianki; częściowo ze sklerozy niżej podpisanego, a częściowo z braku przestrzeni na kolejną atrakcję.

Tak więc chyba warto będzie za rok powtórzyć wydarzenie – bez spinki, bez zbędnych przygotowań: po prostu kilka dni zabawy w swoim fantastycznym towarzystwie na pół-spontanicznie. Chyba że ktoś ma plany wyjazdowe... ■

INNE IMPREZY GIEKAEFOWSKIE

Tradycyjnie zapraszamy Zainteresowanych na klubowy Facebook i Discord ☺

/red./



Majowe spotkanie Dyskusyjnego Klubu Książki GKF; fot. Grzegorz Szczepaniak

GKF NA WESTERPLATTE 25 MAJA 2025



Fotoreportaż: Jan Plata-Przechlewski

DAMIAN FILIPKOWSKI

ZWRACANIE UWAGI

Muszę przyznać, że pytanie *Quo Vadis, GKF?*, rzucone przez Cetiego w jednym z poprzednich felietonów, trafiło na bardzo podatny grunt. Piszę to, ponieważ ostatnio coraz częściej ludzie zaczynają zwracać mi uwagę na różne kwestie. Nie zrozumcie mnie źle: bardzo mnie to cieszy, szczególnie że na niektóre z nich nigdy nie zwróciłbym uwagi. W większości są to ciekawe i różnorodne punkty widzenia. Może gdyby patron tej serii miał wokół siebie osoby, które potrafiłyby wskazać mu pewne rzeczy, wygrałby Wojnę o Pierścień. Oczywiście, o ile chciałby ich słuchać. Ja staram się słuchać – i choć z niektórymi sugestiami się zgadzam, inne zaś wymagają jeszcze rozmowy i przemyślenia – to ogólnie bardzo mnie cieszy, że ludzie biorą sprawy w swoje ręce i działają. Najlepszym dowodem na to są liczne wydarzenia, które odbywają się w naszym klubie. Owszem, niektórzy twierdzą, że część z nich ma niewiele wspólnego z fantastyką. Ale czy to naprawdę źle? Moim zdaniem wręcz przeciwnie! Obecnie, dzięki naszej siedzibie, mamy takie możliwości, że znajdzie się miejsce i czas dla każdego. Z wielu rozmów z klubowiczami (ale nie tylko), wiem, że niektórzy z nas mają awersję do fantasy, inni – lekką alergię na fantastykę naukową, nie wspominając nawet o horrorze. Poza książkami i filmami mamy jeszcze, o zgrozo, gry fabularne, planszowe, komputerowe itd. Czy to nadal jest fantastyka? *Słownik języka polskiego* definiuje fantastykę jako *twórczość literacką, filmową lub inną przedstawiającą świat i wydarzenia nierealne*. Szufladka z napisem *inna* wydaje się być magicznym kontenerem bez dna. Nie zamierzam tu jednak prowadzić akademickiej dyskusji. Chcę jedynie powiedzieć, że moje mroczne serce raduje się na widok tego, jak wiele inicjatyw ma miejsce w klubie – a to, jaką do tego przypniemy etykiетkę, wydaje się być rzeczą drugorzędną.

Zwrócono mi również uwagę na coraz częstsze wykorzystywanie treści generowanych przez AI w naszych materiałach graficznych. Przyznam szczerze, że do tej pory podchodziłem do tego tematu dość lekkomyślnie. Pomijając już zjawisko *uncanny valley* (odsylam do znakomitego artykułu Magdaleny „Naz” Świerczek-Gryboś w marcowym „Informatorze”!), okazuje się, że używanie generatywnej AI do tworzenia różnego rodzaju materiałów budzi również wątpliwości natury moralnej, etycznej, a nawet prawnej. Na najbliższym posiedzeniu Zarządu postaramy się wypracować oficjalne stanowisko w tej sprawie. Wiem, że redakcja „Informatora” ma w tej kwestii mocno ugruntowaną opinię – którą osobiście szanuję – ale jestem ciekaw, co myślą o tym inni. Pamiętajcie, że adres mailowy: zarzad@gkf.org.pl jest dla Was – nie bójcie się go używać! Wracając do sedna: przygotowując banery na Planszówkarium czy wcześniej naklejki na GDArenę, rzeczywiście poszedłem na skróty (*mea culpa*), ale nie zrobiłem tego bezrefleksyjnie. Był to kompromis wynikający z braku odzewu na apel o pomoc w przygotowaniu grafik, a także z powodu terminów zapisanych w umowie z miastem. Cieszę się jednak, że temat został poruszony, bo najwyraźniej jest dla wielu z nas ważny. Podczas rozmowy na zupełnie inny temat z Oganem dowiedziałem się, że graficy i ilustratorzy są na wagę złota. Z innych źródeł wiem, że w naszym klubie nie brakuje artystycznych talentów, dlatego pozwolę sobie ponowić apel: jeśli ktoś z Was chciałby zobaczyć swoje prace w „Informatorze”, na plakatach czy koszulkach GKF-u – zapraszam do kontaktu!

Na koniec zostawiłem sobie kwestię bardzo bliską mojemu czarnemu serduszkowi – Nagrodę Zajdla. Ze sprawdzonych źródeł wiem, że my, jako GKF, praktycznie nie głosujemy na Zajdla. Nie będę się rozpisywał o samej nagrodzie, bo wiem, że w tym numerze ukaże się szersze spojrzenie na ten temat. Chciałbym jednak podzielić się z Wami refleksją: mimo że miałem taką możliwość, nigdy nie oddałem głosu w plebiscycie. Dla mnie twórczość Janusza Zajdla, jak i sama Nagroda Fandomu Polskiego jego imienia, były symbolem tego, co w polskiej fantastyce najlepsze. A symbole traktujemy często z ogromną estymą i niemal świętością. Tak było i ze mną: czułem się niegodny oceniać pisarzy, a tym bardziej przyznawać im nagrody. Piszę to w czasie przeszłym, ponieważ zwrócono mi uwagę na coś istotnego: Zajdel to nagroda fandomu – patrz: nazwa. A fandom to my. Fandom to ja. Nie wiem, jak Wy, ale ja z dużym zainteresowaniem śledziłem zawirowania wokół nagrody, próby podniesienia jej prestiżu i wprowadzenia sprawiedliwszego systemu głosowania. Trudno mi ocenić, na ile się to udało, ale wiem jedno: Zajdel potrzebuje nas tak samo, jak my potrzebujemy Zajdla. Nie bójmy się więc głosować – to nasza nagroda! W tym roku świat obiegra wiadomość o zmianach w regulaminie Oscarów – jurorzy będą musieli udowodnić, że obejrżeli wszystkie nominowane filmy. Co sugeruje, że do tej pory nie zawsze tak było. Piszę o tym, by uświadomić Wam, że czasem nie warto podchodzić do pewnych rzeczy zbyt poważnie. Nawet najważniejsze symbole są warte tyle, ile się pod nimi kryje. Zatem – głosujmy na Zajdla!

Na zakończenie chcę powiedzieć, że ogromnie się cieszę, gdy ktoś do mnie podchodzi lub pisze, by zwrócić uwagę na jakąś sprawę. Cieszę się, że dzielicie się ze mną swoimi pomysłami i opiniami – to właśnie dzięki temu możemy działać jako klub i się rozwijać. Pomyślcie tylko, jak piękny byłby świat, gdyby ktoś wcześniej zwrócił Sauronowi uwagę na kilku małych hobbitów... ■

TRZY GROSZE OGANA

Korzystając z faktu, że pod felietonem prezesa zostało jeszcze trochę miejsca, a to ja się zajmuję składaniem naszego magazynu, pragnę wyrazić moje najszczerze oburzenie faktem nobilitowania przez Damiana postaci Saurona. Nie rozumiem, jak można z taką atencją traktować tego arcydiabła Śródziemia (prawdziwym Szatanem był bowiem jego pokonany i wyrzucony poza Kregi Ardy mentor – Morgoth) i jeszcze wyrażać coś w rodzaju żalu, że nie wygrał on Wojny o Pierścień. Nie ma i nie będzie mojej zgody na taki brak szacunku dla istoty Tolkienowskiej kreacji, gdzie każde zdarzenie i postać odgrywały z dawną napisaną rolę w tym ponadczasowym dramacie. Zdobyć Pierścienia przez Saurona definitywnie zakończyłoby historię Śródziemia, bo nie byłoby na tym świecie ani jednej istoty (może poza Tomem Bombadilem), która ocalałaby własną wolę. A to znaczy, że nie dałoby się nawet śmieszkować na temat Władcy Ciemności w krainie Mordor, gdzie zaległy cienie.

Jeśli zaś chodzi o różnorodność aktywności, którymi parają się nasze koleżanki i nasi koledzy z GKF, ja również, jako członek z ponad trzydziestopięcioletnim stażem, nie widzę powodów, by tak się nie działa. Łączy nas fantastyka, ale każdy ma prawo mieć jeszcze jakieś inne zainteresowania i jeśli może je realizować z innymi klubowymi znajomymi, to jest to dodatkowe spoiwo dla naszego stowarzyszenia. Nie ma co ukrywać, że w pierwszych latach swojej obecności w GKF byłem współorganizatorem rozgrywek w piłkarzyki. Zanim inicjatywa upadła, odbyliśmy trzy pełne sezony zmagania, a pokłosiem tamtych wydarzeń jest turniej piłkarski odbywający się co roku, niestety praktycznie już bez mnie, w trakcie Nordconu ■

MAGDALENA „NAZ” ŚWIERCZEK-GRYBÓŚ

QUO VADIS GKF? DO ZAJDLOWEJ URNY

Nawiązując do pytania postawionego w poprzednim numerze, czyli *Quo vadis, GKF?*, chciałam podzielić się z Wami pewną refleksją. Jestem nowa w Waszym gronie, ale zdecydowanie nie jestem nowa w fandomie. Ludzie znają mnie jako pisarkę, redaktorkę, lemolożkę, prelegentkę, organizatorkę wydarzeń; wychowałam się na poletku „Nowej Fantastyki”, byłam od początku i wciąż jestem w Fantazmatach, prezesowałam Polskiej Fundacji Fantastyki Naukowej czy wprowadzałam SF w program Międzynarodowych Targów Książki; wspominam o tym, by dać znać, że przyglądałam się funkcjonowaniu fandomu, czy też fandomów, z rozlicznych perspektyw. I chciałam przekazać, że tworzycie wspólną społeczność, do której dołączyłam z wielką radością – jest tylko jeden aspekt, w którym mnie zaszokowaliście.

Nie głosujecie na Zajdla.

Zapewne więc nie wiecie, że Nagroda przechodziła przez ostatnie lata trudny okres. Wraz z przemianami w sieci i przemianami w grupach fanowskich zdarzyły się takie incydenty, gdy fani autorów gromadzili się i zalewali konkurs głosami, nawet mimo zerowej znajomości fandomu i braku przynależności do niego, co nie do końca zgrywało się z duchem Nagrody. Dlatego przez ostatnie lata starano się ustalić nowe, chroniące ideę Nagrody, zasady nominowania. Ostatecznie dopuszczono do nominowania wyłącznie Kluby, osoby zapisane na stoiskach czy biorące udział w Polconach – czyli prawdziwie zaangażowane. Jesteście więc docelową grupą. Byliście nią w początkach funkcjonowania nagrody, dekady temu, i znów nią jesteście. Historia zatoczyła koło.

A jednak nie głosujecie.

Niektórzy z Was mówili mi, że to dlatego, że nie czujecie się kompetentni. Że nie przeczytaliście wszystkiego. Kochani, nikt nie przeczytał wszystkiego. Jestem mimo to przekonana, że znacie polską fantastykę lepiej niż 90% osób, które mijacie na ulicy. To Was wskazano do nominowania i głosowania, to dla Was zrekonstruowano zasady. Macie pełne (i właściwie w 1/3 jedyne) prawo do nominowania. Jeżeli z różnych powodów nie czujecie się związani z nagrodą czy nie czujecie się docelowymi głosującymi – moim celem nie jest, by do tego pocucia doszły jeszcze negatywne emocje, jak wstyd, dyskomfort, niepewność czy zmieszanie. No bo – przychodzę i Was pouczam, prawda? Chcę Was ośmielić i zachęcić, a nie rugać. Oswoic Was z perspektywą zaangażowania się.

Przyjrzyjmy się więc wspólnie Nagrodzie Zajdla.

Jej początki sięgają '84 roku – jest starsza od wielu z nas. Przyznano ją już 40 razy! Zaczęło się od Sfinksa – nagrody, którą otrzymał od Klubów fantastyki właśnie Janusz A. Zajdel za *Paradyżę*.

Janusz Zajdel odszedł w 1985 roku i decyzją Klubów nagroda uhonorowała jego osobę, zmieniając swoją nazwę. Przyjrzyjcie się temu początkowi – nagroda wzięła się z klubowej potrzeby doceniania rodzimych twórców. Do lat 90. to właśnie głosowanie Klubów decydowało o corocznym wyborze laureata. Głosowanie ludzi takich jak Wy, miłośników fantastyki.

W 1991 roku po raz pierwszy decyzją podjęta została przez uczestników krakowskiego Euroconu i pojawiły się statuetki (zaprojektowane przez profesora krakowskiej ASP Wiesława Bielaka) oraz dyplomy. Rozszerzono też

przyznawanie nagrody na dwa etapy, z którym spotykamy się do dzisiaj; etap nominacji i etap wyłonienia z nominowanych utworów laureata. Wyłanianie laureata wiązało się na stałe z Polconem, natomiast nominacje rozszerzyły się o głosowanie korespondencyjne, a potem internetowe. Pojawiły się również dwie kategorie przyznawania nagrody, czyli za powieść i za opowiadanie. Jak widać więc, idea tej nagrody była miła tak Klubom, jak i niezrzeszonym fanom, i chciano nagradzać wyjątkowych w odbiorze fanów twórców nie tylko na popularniejszym polu powieściowym. To rzadka sytuacja; opowiadania są wybitnie niedoceniane i bardzo rzadko nagradzane w tego typu plebiscytach. A już zwłaszcza opowiadania fantastyczne.

Nie wiem, czy byliście kiedyś na przyznaniu Nagrody Zajdla. Miałam przyjemność obserwować w zeszłym roku to wydarzenie z pierwszego rzędu, co relacjonowałam Wam w jednym z wcześniejszych numerów. Jest to niezmiernie ciepła, wręcz rodzinna uroczystość, którą wciąż uświetnia Pani Jadwiga Zajdel, osoba niezwykle bystra i dla wszystkich przemiła. Nagroda Zajdla nie jest to rzecz przynależna jakiemuś uczonemu kolegium, odbywająca się za zamkniętymi drzwiami, nie jest też przyznawana w formule śmiertelnie poważnej; zachęcam, by łączyć ją ze skojarzeniami swobodnych typów, przyjemnej i bliskiej miłośnikom tradycji oraz atmosfery wspólnoty, gdzie nie ma równych i równiejszych, a jedynie rzesza fanów chcących zwracać szerszą uwagę na ciekawe fantastyczne utwory danego roku.

Nagroda Zajdla jest jednym z filarów Związku Stowarzyszeń „Fandom Polski”, którego GKF jest częścią. Bez zaangażowania Klubów ta nagroda może nie przetrwać, a ma przecież niesamowitą tradycję i renomę, nawet jeśli wiąże się ze zwyczajnym głosowaniem fanowskim – całkiem zwykłych

miłośników fantastycznej literatury. Nagroda Zajdla Was potrzebuje, potrzebują Was twórcy – przecież piszą dla Was. Martwicie się, że będziecie stronniczy? Przecież Nagroda Zajdla jest nagrodą plebiscytową i głosujecie na to, co Wam się wyjątkowo spodobało, co wywarło na Was wrażenie. O to właśnie chodzi – o Wasze typy szczególnie dobrych utworów, jakie Wam zapadły w pamięć w danym roku. Możecie zaangażować się w Zew Zajdla i przeczytać trochę więcej powieści i opowiadań niż zwykle, macie zawsze na tacy podaną listę pomocniczą. W tę nagrodę ludzie angażują się ze szczerą pasją, chcąc wesprzeć polską fantastykę. Do dzieła! Według mnie udział w głosowaniach/nominacjach na nagrody fandomowe to jeden z najważniejszych przywilejów, jakie daje przynależność klubowa. Widzę po odezwie nowego prezesa, że GKF chce otworzyć się na resztę fandomu, chce zaistnieć w szerszych inicjatywach. Zapraszam więc Was jako osobę wspierającą nagrodę, wspierającą debiutantów i fantastów, i jako twórczyni – zaangażujcie się w Nagrodę Zajdla i Zew Zajdla.

Co zrobić, by nominować? Czytać tegoroczne premiery. W bibliotece GKF-u znajdziecie bieżące tytuły, zachęcam jednak do kupowania choć części książek, bo to jest nasz zawód, sposób, w jaki zarabiamy. W drugiej połowie roku będziecie mogli wesprzeć się listą pomocniczą Zewu Zajdla i doczytać więcej utworów, które Was zaciekawia. A potem wystarczy odpowiedzieć na mail od Zarządu, gdy ten da znać o zgłoszeniach po kody do nominacji. Dostajecie kod, wchodzicie na stronę nagrody i go anonimowo realizujecie. To wszystko! A jak zagłosować na laureatów w drugim etapie? Na Polconie, również anonimowo. Oba etapy to więc czyste połączenie przyjemnego z pożytecznym.

Liczę na nowy szok za rok – liczbą głosujących! ■

#NIE TYLKO BARBARZYŃCY – ANNA SZUMACHER

Czy mogłabyś przedstawić się naszym czytelnikom?

Cześć! Nazywam się Anna Szumacher. Głównie zajmuję się pisaniem, redagowaniem i tłumaczeniem, bo samo tworzenie literatury nie wystarczyłoby mi na życie. Ukończyłam archeologię, mam też fakultet z dziennikarstwa oraz PR-u, reklamy i promocji firmy. Zanim na serio związałam się z branżą wydawniczą – zdobywałam doświadczenie w agencjach PR-owych, a potem przez jakiś czas pracowałam w Radiu Łódź, gazecie i szkole językowej. Teraz staram się skupiać głównie na działalności okołowydawniczej.

Jak rozpoczęła się Twoja przygoda z fantastyką?

Myślę, że wszystko zaczęło się od animacji. Jeśli miałabym zgadywać, to byłby to *Ostatni jednorzec*, którego oglądałam bez końca. Potem odkryłam, że to ekranizacja powieści Petera S. Beagle'a. To był moment, kiedy zakochałam się w fantastyce! Wkrótce potem przeczytałam *Władcę Pierścieni* Tolkiena oraz *Powrót z gwiazd* Lema. Po latach wróciłam do tej drugiej książki – i okazało się, że ma zupełnie inny sens, niż myślałam na początku. A później, chyba tak jak wszyscy Polacy, zaczęłam czytać Sapkowskiego: moim ulubionym bohaterem zdecydowanie był Regis. W pierwszej klasie liceum już całkowicie wsiąknęłam w ten świat.

Jak poznawałaś fantastykę? Szukałaś informacji w magazynach? Możliwe, że miałas kolegów lub koleżanki zainteresowanych/zainteresowane tym tematem? A może byłaś członkinią jakiegoś klubu w Łodzi?



Anna Szumacher, fot. HaWa

Byłam raczej introwertycznym dzieckiem i spędzałam mnóstwo czasu w bibliotece, czytając wszystko, co tylko mogłam znaleźć.

Czy zdarzało Ci się czytać fantastykę? Może science fiction lub inne gatunki?

Przeczytałam kilka pojedynczych numerów magazynów „Science Fiction, Fantasy i Horror” oraz „Nowej Fantastyki”. Regularnie kupowałam „Kawaii”, bo byłam – i nadal jestem – fanką anime. Poza tym czytałam naprawdę wszystko; na przykład kryminały, horrory i westerny.



Fot. Anna Szumacher

Jak zainteresowałaś się anime i mangą?

To było głównie dzięki RTL 7, Cartoon Network i Polonii I – oglądaliśmy to, co było dostępne w telewizji.

Kto był inspiracją dla Twojej fascynacji fantastyką lub mangą? Czy ktoś Cię zachęcił do tego świata?

Myślę, że istotniejsze jest to, że nikt mnie nie zniechęcał. Jeśli chodzi o mangę i anime, to właściwie odkrywałam sama aż do liceum; później miałam koleżanki, które również były tym zainteresowane. Co do literatury fantasty – to wiele książek wpłynęło na moje zainteresowania; szczególnie uwielbiam Pratchetta i Beagle'a za ich niesamowitą wyobraźnię i język. Pierwszym impulsem do tworzenia własnych historii była książka Ewy Białołęckiej *Tkacz iluzji*, bo pokazała mi nowe możliwości podejścia do gatunku.

Jakie są Twoje ulubione serie i filmy?

Jak zmieniały się one na przestrzeni lat?

Zastanawiając się nad tym, zauważam, że nie oglądałam zbyt wielu typowych fantasy czy science fiction. Bardzo podobały mi się jednak serie *Eureka*, *Charmed* oraz *Supernatural*. Na pewno także *Firefly* oraz nowsze produkcje, jak aktorski *One Piece*. Jeśli chodzi o filmy – klasyka jak *Łowca androidów* z 1982 roku, *Zaklęta w sokoła* oraz *Władca Pierścieni* zawsze będą bliskie memu sercu.

Mówiłaś o wychowywaniu się na RTL 7 oraz Polonii I... Czy miałaś jakieś doświadczenie z internetem (forumi, grupami)?

Szczerze mówiąc – nie miałam wtedy żadnego kontaktu z fandomem internetowym; pierwszym miejscem związanym z fantastyką było dla mnie stare forum „Nowej Fantastyki”.

Jesteś pisarką od 2010 roku; premiera Twojej książki miała miejsce w 2019 roku. Co sprawia Ci największą radość podczas pisania?

Chyba sam proces tworzenia, kiedy rodzi się pomysł; a potem, w pewnym momencie, wszystkie klocki wskakują na swoje miejsce i jest taka chwila olśnienia, że to się rzeczywiście może udać. Nie ma jednej rzeczy, która mnie inspiruje – pochłaniam mnóstwo książek, anime i filmów; w przeszłości też fanfiki. Te wszystkie przyswojone fabuły układają mi się potem w coś własnego.

Pamiętam spotkanie sprzed lat z Jakubem Ćwiekiem... Ktoś go zapytał, ile książek rocznie czyta – on wspomniął o swojej pasji do literatury.

Również uwielbiam czytać. Kiedy mam czas – gram też w gry komputerowe oraz oglądam zaległe serie.

A angażujesz się jakoś aktywnie w fandom? Bywasz na konwentach?

Jestem z Łodzi, więc od kilku lat regularnie uczestniczę zarówno w Kapitulzku, jak i SkierConie. Jeżdżę też oczywiście na inne, dalej od domu.

Co uważasz za swoje największe osiągnięcie?

Nie mam jednego konkretnego osiągnięcia życiowego; czuję jednak, że wiele rzeczy pozwala mi rozwijać skrzydła: wydanie pierwszej książki było dużym krokiem naprzód; zamknięcie trylogii czy publikacja pierwszego audiobooka również były znaczącymi momentami. To raczej taka metoda małych osiągnięć.

A jak wspominasz swoje początki pisarskie? Trudno było zacząć pisać dziesięć lat temu?

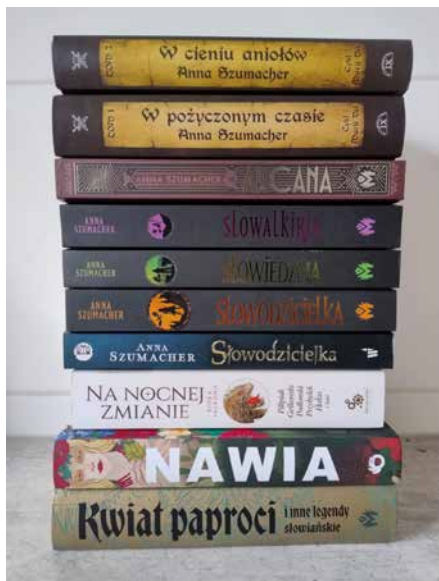
Myślę, że wtedy łatwiej mi było pisać niż teraz – nie znałam rynku wydawniczego, więc pisałam wyłącznie dla przyjemności; czułam potrzebę opowiedzenia historii. Teraz też to robię, ale czasami mam takie: „uhhh, rynek”. Mój debiut też nie należał do łatwych; nie do końca dobrana promocja i wybuch pandemii na pewno nie pomogły... Tak naprawdę: w 2022 roku czułam, że praktycznie ponownie zacznę od zera.

Co myślisz o self-publishingu versus wydawnictwa tradycyjne?

To zależy od oczekiwań autora – osobiście nie widzę siebie w *self-publishingu*, ponieważ organizacja tego procesu przerasta moje możliwości.

Możesz opowiedzieć o swoich książkach?

Zaczynałam od krótszej formy i dosyć długo kręciłam się przy opowiadaniach. Mój debiut książkowy to była od razu trylogia fantasy, co z jednej strony było ekscytujące, a z drugiej dość ryzykowne. Po drodze zmieniałam wydawcę, więc pierwszy tom, *Słowodzielka*, ukazał się w dwóch różnych miejscach. To meta high fantasy o bohaterach drugoplanowych, którzy są świadomi swojej roli w książce i poszukują głównego bohatera oraz fabuły. Wciągają swoją autorkę do wnętrza powieści i wtedy zaczynają się prawdziwe kłopoty. Mam też dość klasyczny cykl urban fantasy o Marii Dee – dotychczas wyszły dwa tomy, a obecnie powoli kończę trzeci. Mam nadzieję, że albo ukaże się jeszcze w tym roku, albo przynajmniej w tym półroczu oddam go wydawcy. I jest jeszcze *Arcana*, fantasy połączone z kryminałem na granicy Young Adult i New Adult o dziedzicze fortuny wracającej do zamku. Już na start trafia na zwłoki swojego



Fot. Anna Szumacher

brata i, jak sobie żartuję, to jest najprzyjemniejsze wydarzenie tego dnia.

Słuchaj, powiedz mi – wspomniałaś o konwentach. Czy jeździsz po Polsce na takie wydarzenia? Jak to u Ciebie wygląda?

Staram się brać udział w konwentach, jeśli tylko mam czas i mój wydawca tam jest lub dostanę zaproszenie. Nigdy nie byłam uczestniczką tych wydarzeń wyłącznie jako fanka, co może być trochę dziwne dla kogoś, kto chce być częścią fandomu. Kiedy zaczynałam jeździć na konwenty, robiłam to jako media – pracowałam w radiu czy współpracowałam z różnymi organizacjami i nagrywałam wywiady z pisarzami. Potem szybko przeskoczyłam do roli gościa. Lubię konwenty. Tylko muszę po nich trochę odpocząć – jak u każdego introwertyka moja „bateria społeczna” w pewnym momencie zjeżdża do zera i potrzebuję chwili dla

siebie, bo inaczej muszę „odchorować”, jeśli za dużo wezmę na głowę. Ale naprawdę cenię sobie te spotkania z ludźmi oraz poznawanie nowych osób.

Jak Twoim zdaniem zmienia się rola kobiet w fandomie?

Trochę trudno mi ocenić tę zmianę bez porównania do dawnych lat; a nie jeździłam wcześniej na typowo fandomowe konwenty jako uczestniczka.

Z perspektywy ostatnich lat – jakie zmiany zauważasz?

Myślę, że przede wszystkim pojawiło się więcej prelekcji prowadzonych przez kobiety na najróżniejsze tematy. Na rynku również mamy coraz więcej autorek oraz większą liczbę książek wydawanych przez kobiety. I coraz więcej bohaterek płci żeńskiej pojawia się w literaturze – co jest bardzo istotne dla nowego pokolenia czytelników i czytelniczek! Kiedy dorastałam, większość bohaterów powieści to byli mężczyźni. Druga rzecz to brak aż tak zamkniętych męskich społeczności; teraz kobiety mogą dosyć swobodnie wypowiadać się o *science fiction*, rpgach, grach komputerowych. Albo o cymkolwiek innym.

Jakie kobiety są dla Ciebie inspiracją?

Może to trochę nietypowa odpowiedź, ale bardzo cenię te kobiety, które potrafiły przebić się przez szklany sufit. Często są to postacie historyczne lub prawie mityczne, ale naprawdę mnie fascynują. Wśród nich jest na przykład królowa Boudika, która miała odwagę stanąć na czele swojego ludu przeciwko cesarstwu rzymskiemu. Mamy również niezwykle postać Shi Yang, która zaczynała prawdopodobnie jako portowa kurtyzana, a stała się władczynią chińskich piratów. A jeśli chodzi o późniejsze

czasy, to pilotka Amelia Earhart oraz pisarka Mary Shelley – pionierka całego gatunku science fiction. No i nie można zapomnieć o Adzie Lovelace, która stworzyła podwaliny do programowania – to wszystko jest szalenie inspirowane i życiowe, i przy tworzeniu postaci.

Jakie masz rady dla początkujących pisarzy?

Najważniejsze to nie poddawać się po pierwszej porażce i nauczyć cierpliwości. W świecie wydawniczym nic nie dzieje się szybko: wysyłasz tekst i czekasz... A potem poprawiasz go kilka razy, zanim zobaczysz okładkę czy datę premiery. Spokojnie da się napisać kolejną książkę podczas oczekiwania na wydanie poprzedniej.

Jak widzisz dzisiejszą scenę polskiej fantastyki?

Myślę, że sytuacja jest bardzo interesująca. Fantastyka polska rozwija się dynamicznie; jeszcze niedawno była marginalizowana na rzecz autorów zagranicznych... Teraz mamy boom polskiej fantastyki, dużo nowych nazwisk oraz ciekawe mieszanki gatunkowe. Jak to się mówi: *sky is the limit*.

Co możesz powiedzieć o dzisiejszych czytelnikach? Kim oni są według Twojej perspektywy jako pisarki?

Trudno mi jednoznacznie odpowiedzieć; każdy autor celuje w innego odbiorcę. Ale młodszy fandom wyrósł już w erze internetu i łatwego

#Nie tylko barbarzyńcy – cykl wywiadów przedstawiający sylwetki kobiet działających w szeroko rozumianej fantastyce i ją promujących.

Rozmowy przeprowadzają:

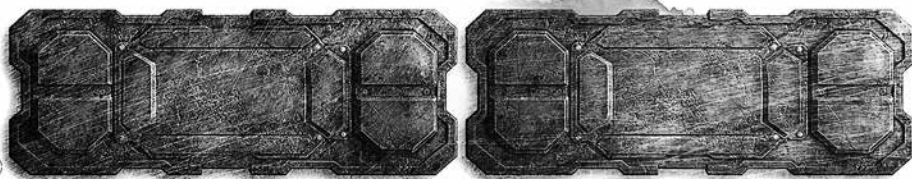
Jaśmina „Dzas” Kotlarek – organizatorka konwentów oraz eventów, larpowicz, rpgowicz, komiksarz, improwizatorka. Zdobywczyni nagród za kreacje postaci larpowych. Założycielka pierwszej Trójmiejskiej Inicjatywy Mangowej, działaczka na rzecz NGO w Trójmieście, pracowała na rzecz trójmiejskich projektów muralowych.

Tomasz „Kruszon” Stępiński – rocznik '86, współtwórca Klubu Miłośników Fantastyki „Sagitta”. Animator życia kulturalnego, dziennikarz popkulturowy, regionalista, badacz nowych mediów, miłośnik fantastyki, filmów i komiksów. Prowadzi blog steamanmanac.pl oraz dziejograf.pl

dostępu do szeroko pojętej kultury oraz dzieł w różnych językach, z koreańskim włącznie... Widać też różnice w oczekiwaniach: współczesny bookstagram kocha estetycznie wydane książki, więc liczy się nie tylko wnętrze.

Ciekawi mnie jeszcze jedno: kiedy masz spotkania autorskie z młodymi ludźmi – jakie zadają pytania? Co ich interesuje?

Wszystko. Jak to z młodymi ludźmi zawsze bywa. Ile zajmuje pisanie? Ile się na tym zarabia? A czy znam Sapkowskiego? Przytoczę tu anegdotę znajomego, godzina spotkania autorskiego, mówienie o książkach, wydawcach, rynku, a potem pada pytanie: „A jakim samochodem pan jeździ?”. No więc ja jeżdżę czekoladowym.





ADAM „CETI” CETNEROWSKI

POWRÓT TOP 10 – SEZON 5, ODC. 5

CONCORDIA

Autor: Mac Gerdts
 Rok wydania: 2013
 Liczba graczy: 2–5
 Czas gry: 100 minut
 Ranking BGG*: 326

#8 gra wszech czasów wg Cetiego – *Western Legends* („Informator” #373)

#9 gra wszech czasów wg Cetiego – *Aeon's End* („Informator” #364)

#10 gra wszech czasów wg Cetiego – *Concordia*

Concordia to gra, która zdecydowanie ma szanse na zwycięstwo w kategorii „najbrzydsze okładki wszechczasów”. Jeżeli nie wierzycie – to obejrzyjcie ilustrację



(pamiętając, że jest to poprawiona wersja rysunku!). Poza tym jest to wybitna Eurogra*.

W grze wcielamy w rzymskich kupców, którzy podróżują po Imperium, kupując i sprzedając różne dobra oraz zakładając faktorie. A wszystko po to, aby na końcu gry mieć jak najwięcej punktów zwycięstwa. (Wszak już wspomniałem, że to Eurogra).

Podstawowy mechanizm* gry to zarządzanie ręką*. Akcje na kartach pozwolą nam właśnie podróżować, budować faktorie, handlować czy budować nowe karawany i statki handlowe. Po zagranie karty pozostaje ona na naszym stosie zagranych kart, dopóki nie zagramy karty, która pozwoli nam odzyskać nasze karty. Jedną z akcji jest też zakup dodatkowych kart akcji z rynku. Posiadają one podobne, ale często silniejsze, wersje akcji. Tak więc kluczem do zwycięstwa jest zagrywanie kart w odpowiedniej kolejności, dokupywanie nowych kart i umiejętne odzyskiwanie ich.

Drugim istotnym smaczkiem jest sposób zdobywania punktów zwycięstwa. W odróżnieniu od wielu gier, gdzie zasady zdobywania punktów są stałe (5 punktów za budynek, 3 za monetę, itp.), w *Concordii* każdy gracz będzie punktował inaczej. A to, za co zdobędzie punkty, zależy od niego – a dokładniej od kart, jakie pozyska w trakcie gry. Każda z kart jest poświęcona jednemu z głównych bóstw rzymskich, a każdy bóg ceni coś innego. W trakcie gry gracze muszą więc balansować rozwijanie swojego handlowego imperium ze zdobywaniem kart z bóstwami premującymi strategię w danej rozgrywce.

Na koniec dodam, że gra posiada kilka dodatków*, głównie nowych map, które podnoszą regrywalność*.

Moja opinia

Lubię gry, w których mogę pochwalić się sprytem, wykonując ciekawe kombinacje ruchów. Podobnie lubię gry, gdzie pojedyncze akcje i tury są małe i szybkie. Ta gra spełnia oba te kryteria. Jednocześnie powoduje spore przegrzanie mózgu, jako że umiejętna rozgrywka wymaga odpowiedniego balansowania wielu czynników.

Niestety, powoduje to, że gra nie jest dla każdego – a to utrudnia znalezienie chętnych do kolejnych partii ■

Słowniczek:

BGG – BoardGameGeek (boardgamegeek.com) – strona o grach planszowych z jedną z największych, jeśli nie największą, bazą danych gier planszowych; ponadto na stronie znajdują się bardzo aktywne fora dyskusyjne, rynek gier i wiele innych przydatnych materiałów. Niezbędny zasób prawdziwego fana gier planszowych. GKF też ma swój profil z listą gier w bibliotece: <https://boardgamegeek.com/collection/user/GKF>

Dodatek (rozszerzenie, ang. *expansion*) – dodatkowe elementy do gry kupowane w osobnym zestawie. W wersji minimalistycznej są to nowe karty lub żetony. W wersjach rozbudowanych zawierają całe pudełko nowych elementów oraz sporo zmian w zasadach. Szczególnym przypadkiem są tzw. Standalone Expansion (samostne), które można używać jako oddzielnej gry lub połączyć z poprzednią częścią.

Euro, Eurogra – gry tego typu charakteryzują się determinizmem, ujednoliconymi



zasadami (kosztem klimatu czy „realizmu”) i (często) brakiem interakcji negatywnej pomiędzy graczami. Nazwa wzięła się z wczesnego okresu, gdy większość tego typu gier powstawała w Europie, w szczególności Niemczech.

Mechanizm gry (ang. *mechanism*) – elementy zasad gry, które przekładają się na sposób grania; np. w szachach czy warcabach podstawowy mechanizm to poruszanie pionków (figur) po szachownicy i bicie pionków (figur) przeciwnika.

Regrywalność – (subiektywna) cecha gry określająca, ile razy można zagrać w grę nim się znudzi/wyczerpie. Regrywalność może wynikać z dostępności różnych scenariuszy/misji/przygód, obecności różnych dróg do zwycięstwa, losowości w grze (np. losowa plansza), interaktywności.

Zarządzanie ręką (ang. *hand management*) – mechanizm, w którym ważną rolę odgrywa odpowiednie zagrywanie kart z ręki (czy w celu wykonania ruchu czy opłaceniu go). Zależnie od implementacji – ważne może być przetrzymywanie kart w celu złożenia wartościowych kombinacji.



JANUSZ PISZCZEK

ZAPOWIEDZI CZERWCA

Głębie – Antologia

Data wydania: 1 czerwca 2025

Wydawca: Stalker Books

Czarne słońce – Arkady Saulski

Data wydania: 2 czerwca 2025

Wydawca: Drageus

Sen o Złotym Cesarstwie – Tomasz Bochiński

Data wydania: 2 czerwca 2025

Wydawca: Stalker Books

Rzeźnia numer pięć (Slaughterhouse Five) – Kurt Vonnegut

Data wydania: 3 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Zysk i S-ka

Dom much (House of Flies) – Graham Masterton

Data wydania: 3 czerwca 2025

Wydawca: Rebis

Baśniobór (Fablehaven) – Brandon Mull

Data wydania: 4 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Wilga

Gwiazda wieczorna wschodzi (Rise of the Evening Star) – Brandon Mull

Data wydania: 4 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Wilga

Plaga cieni (Grip of the Shadow Plague) – Brandon Mull

Data wydania: 4 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Wilga

Tajemnice smoczego azylu (Secrets of the Dragon Sanctuary) – Brandon Mull

Data wydania: 4 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Wilga

Klucze do więzienia demonów (Keys to the Demon Prison) – Brandon Mull

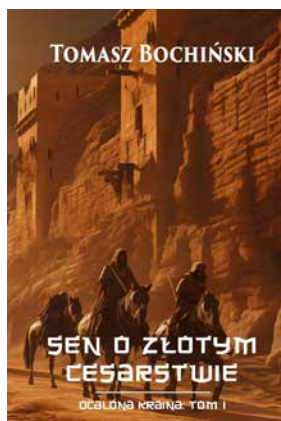
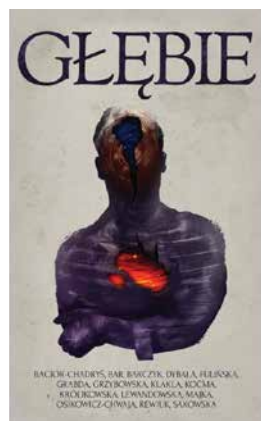
Data wydania: 4 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Wilga

All Better Now (All Better Now) – Neal Shusterman

Data wydania: 4 czerwca 2025

Wydawca: Uroboros



Ciemnia (Darkroom) – Graham Masterton

Data wydania: 4 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Albatros

Łłodziej dusz (Demon's Door) – Graham Masterton

Data wydania: 4 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Albatros

Kłatwy i pierniczki. Opowiadania ze świata Thornu – Aneta Jadowska

Data wydania: 4 czerwca 2025

Wydawca: Sine Qua Non

Harry Potter i Księżę Półkrwi (Harry Potter and the Half-Blood Prince) – J.K. Rowling

Data wydania: 4 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Media Rodzina

Harry Potter i Insygnia Śmierci (Harry Potter and the Deathly Hallows) – J.K. Rowling

Data wydania: 4 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Media Rodzina

Ostatnia batalia (The Gathering) – C.J. Tudor

Data wydania: 4 czerwca 2025

Wydawca: Czarna Owca

Spotkanie z Heechee / Kroniki

Heechee (Heechee Rendezvous / The Annals of the Heechee) – Frederik Pohl

Data wydania: 6 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: MAG

Eldorado – Arkady Saulski

Data wydania: 6 czerwca 2025

Wydawca: Drageus

Nowa Wiosna (New Spring) – Robert Jordan

Data wydania: 10 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Zysk i S-ka

Jak zostać piratem (How to Be a Pirate) – Cressida Cowell

Data wydania: 10 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Replika

Bajki robotów i Cyberiada – Stanisław Lem

Data wydania: 10 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Karakter

Głodny świat – Marcin Rusnak

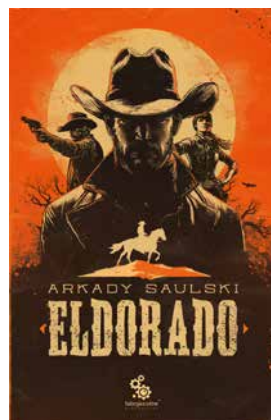
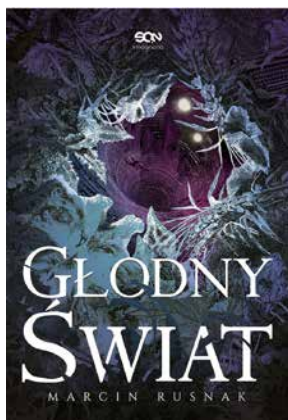
Data wydania: 11 czerwca 2025

Wydawca: Sine Qua Non

Swarożyc – Katarzyna Berenika Miszczuk

Data wydania: 11 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Mięta



Wrogowie Asgardu (The Bane of Asgard) – Cinda Williams Chima

Data wydania: 12 czerwca 2025

Wydawca: Galeria Książki

Księgi Krwi I–III (Books of Blood. Volumes 1–3) – Clive Barker

Data wydania: 13 czerwca 2025

(wznowienie)Wydawca: MAG

Księgi Krwi IV–VI (Books of Blood. Volumes 4–6) – Clive Barker

Data wydania: 13 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: MAG

Przeznaczenie umarłych (Destiny of the Dead) – Kel Kade

Data wydania: 13 czerwca 2025

Wydawca: Fabryka Słów

Lód (Ice) – Anna Kavan

Data wydania: 16 czerwca 2025

Wydawca: ArtRage

Czarny anioł (Black Angel) – Graham Masterton

Data wydania: 17 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Albatros

Poranek dnia zagłady (Doomsday Morning) – C.L. Moore

Data wydania: 17 czerwca 2025

Wydawca: Rebis

Jak wytresować smoka (How to Train Your Dragon) – Cressida Cowell

Data wydania: 17 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Replika

Emily Wilde. Kompendium zaginionych legend (Emily Wilde's Compendium of Lost Tales) – Heather Fawcett

Data wydania: 18 czerwca 2025

Wydawca: MAG

Diabły (The Devils) – Joe Abercrombie

Data wydania: 18 czerwca 2025

Wydawca: MAG

Kolonia (Kołoniya) – Max Kidruk

Data wydania: 18 czerwca 2025

Wydawca: Insignis

Kroniki jednorożca. Wojna – Robert J. Szmidt

Data wydania: 18 czerwca 2025

Wydawca: Skarpa Warszawską

Frankenstein (Frankenstein: or the Modern Prometheus) – Mary Shelley

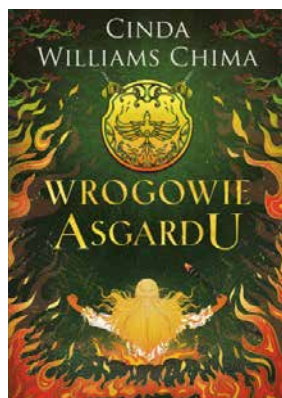
Data wydania: 18 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Świat Książki

Księga ognia i inne opowiadania – Stefan Grabiński

Data wydania: 18 czerwca 2025

Wydawca: Świat Książki



Gracz – Magdalena Kozak

Data wydania: 18 czerwca 2025

Wydawca: WarBook

Gniew bogów (The Fury of the Gods) – John Gwynne

Data wydania: 24 czerwca 2025

Wydawca: Fabryka Słów

Równoumagicznienie (Equal Rites) – Terry Pratchett

Data wydania: 24 czerwca 2025 Wznowienie

Wydawca: Prószyński i S-ka

Zagrożenie Fundacji (Foundation's Fear) – Gregory Benford

Data wydania: 24 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Rebis

Powrót Cienia (The Return of the Shadow) – J.R.R. Tolkien

Data wydania: 24 czerwca 2025

Wydawca: Zysk i S-ka

Darth Bane. Dynastia zła (Dynasty of Evil) – Drew Karpysyn

Data wydania: 25 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Olesiejuk

Pokazać świat Dysku Terry'ego Pratchetta (Designing Terry Pratchett's Discworld) – Paul Kidby

Data wydania: 26 czerwca 2025

Wydawca: Prószyński i S-ka

Zaginiony kontynent (The Lost Continent) – Tui T. Sutherland

Data wydania: 27 czerwca 2025

Wydawca: MAG

Solomon Kane – Robert E. Howard

Data wydania: 27 czerwca 2025 (wznowienie)

Wydawca: Vesper

Navola (Navola) – Paolo Bacigalupi

Data wydania: 27 czerwca 2025

Wydawca: Vesper

Miedzy wrony (When Among Crows) – Veronica Roth

Data wydania: 27 czerwca 2025

Wydawca: Vesper

Świat rebelii (RebelWorld) – B.V. Larson

Data wydania: 27 czerwca 2025

Wydawca: Drageus

Smoczy ogień – Romuald Pawlak

Data wydania: 27 czerwca 2025

Wydawca: Drageus

Konrad Curze. Nocny upiór (Konrad Curze: The Night Haunter) – Guy Haley

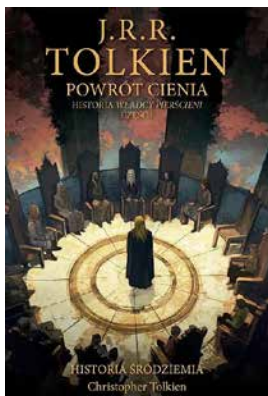
Data wydania: czerwiec 2025

Wydawca: Copernicus Corporation

Przygody Gotreka i Feliksa. Omnibus 3 (Gotrek and Felix, vol 3) – William King & Nathan Long

Data wydania: czerwiec 2025

Wydawca: Copernicus Corporation



ARTUR ŁUKASIEWICZ

Dobra: dziś krótko – bo mam krótko i na temat, a nie jakieś-tam dywagacje i pierdoły. Ale i tak w kilku przypadkach się wyłamuję – i nie dam sobie tego usunąć, i będę bronić niczym niepodległości Zambezi. I tak tematycznie jest słabowicie i posuchowo, żeby nie rzucić w myślach brzydszym słowem. Taki miesiąc...

- 4 czerwca

Stick / serial / Apple TV

Dla miłośników golfa – ja czasem jestem – choć Meronk słabuje i rozmienia się na petrodolary, zamiast zwyżkować w karierze, co satysfakcji raczej nie daje. Owen Wilson gra byłego golfistę zawodowego, który dwie dekady po tym, jak jego kariera po raz pierwszy się załamała, traci żonę (która odchodzi) i pracę w sklepie sportowym (po tym, jak zostaje zwolniony). Skupia więc swoją uwagę na mentorowaniu nastoletniego geniusza golfa.

- 6 czerwca

Ballerina / film / kino

Sequel opowieści o Johnnym Wicku. Osierocona przez porywacza, który zabił jej ojca i uprowadził młodszą siostrę, 7-letnia Eve trafia do rodziny zastępczej. Przepełniona gniewem i żądzą zemsty zwraca na siebie uwagę tajemniczej organizacji Ruska Roma, która przygarnia ją i doskonali w sztuce tańca i zabijania.

The Phoenician Scheme / film / kino

Jak zwykle mocno pokręcony i dziwaczny – ale na swój sposób oryginalny i zgoła fantastyczny – nowy film Wesa Andersona. Zmęczony życiem bogaty biznesmen wyznacza swoją córkę na szefową jego życiowego projektu. Sęk w tym, że jego córka jest... zakonnica. W tle zagadka śmierci, kryminał, absurd i ironiczna komedia. I wszystko w gwiazdorskiej obsadzie. Ba tam gwiazdy z radością statystują – i to za najniższą stawkę związkową! Ja polecam.

- 11 czerwca

Nostros Tiempos / film / Netflix

Dwójka fizyków, Nora i Hector, odkrywają zjawisko umożliwiające przeniesienie się w czasie z 1966 roku do roku 2025. Są oszołomieni, poznają fascynujący świat przyszłości. Nora nie ma problemów z adaptacją do nowej rzeczywistości; w dodatku może się teraz poczuć prawdziwą kobietą, wolną i nieograniczoną konwenansami i zwyczajami lat sześćdziesiątych. Jednak Hector czuje się jednak źle i chce jak najszybciej wracać do domu.

- 12 czerwca

Revival / Syfy / u nas prawdopodobnie kilka dni później

Adaptacja serii Image Comics; akcja rozgrywa się na prowincji w Wisconsin, gdzie zmarli nagle wracają do życia. Ale nie są to zwykli źli zombie: zamiast tego nieumarli zachowują się tak samo, jak za życia.

- 13 czerwca

Kings of Jo'Burg / 3 sezon / Netflix

O, kurczę, to już trzeci sezon, a ja nie miałem o serialu pojęcia, choć chyba powinienem być na bieżąco. Zrobiony przez Netflix-Africa – *Kings of Jo'burg* to południowoafrykański serial telewizyjny o rodzinie przestępczej z Johannesburga. Serial łączy w sobie elementy kryminału, dramatu i zjawisk nadprzyrodzonych. Mafia, narkotyki, przemoc – i w każdej z tych grup główną rolę odgrywają postacie mityczne.

Rytuał / kino / film

Pewnego dnia do sprawującego posługę w stanie lowa księdza Josepha napływa pilna prośba. Chodzi o 46-letnią Emmę Schmidt, która doświadcza przerażających omdleń, wstrętu do świętych przedmiotów i innych niepokojących objawów. Jej leczenie psychiatryczne nie przyniosło rezultatu, więc ostatnią deską ratunku wydaje się być odprawienie egzorcyzmów. Odosobniony klasztor w parafii księdza Josepha zostaje wybrany na miejsce przeprowadzenia rytuału. Do wykonania tego zadania zostaje wyznaczony Theophilus – tajemniczy zakonnik, którego wcześniejsze doświadczenia z egzorcyzmami uznano za kontrowersyjne. Nadchodzi czas, aby zmierzyć się z siłami zła, które mogą doprowadzić wszystkich biorących w tym udział na skraj szaleństwa. [opis producenta]

- 20 czerwca

28 lat później / trzeci film z serii / kino

Od 28 lat Wielka Brytania żyje pod jarzmem straszliwej epidemii, która zamienia zainfekowanych we wściekłych ludzi. Pozostało kilka grup, których epidemia nie dotknęła. Historia koncentruje się na młodym chłopcu, który szuka lekarza, aby pomóc swojej umierającej matce. Co się stanie z ludzkością?

- 25 czerwca

Ironheart / sezon 1 / Disney+

Serial telewizyjny jest również najnowszym dziełem w Marvel Cinematic Universe. Dominique Thorne – odkrywczyni nastoletniego geniuszka, studentka MIT oraz fanka Iron Mana – teraz wraca do domu w Chicago, gdzie buduje swój własny potężny pancerz i uwikłana jest w romans z Parkerem Robinsem (*The Hood*).

- 27 czerwca

Squid Game / sezon 3 / Netflix

Trzeci sezon znanej i lubianej serii koreańskiej o krwawej grze, której stawką jest duża suma pieniędzy. Sezon ma definitywnie zakończyć wszystkie wątki i wyjaśnić wszelkie niedomówienia. Pierwotnie sezony 2 i 3 miały być całością, ale zdecydowano rozdzieleniu ich na dwa sezony – tak więc część aktorów grających w sezonie drugim powróci choćby na moment.

FI / film / kino

Wścigowa legenda Sonny Hayes daje się namówić na powrót z emerytury, żeby poprowadzić zmagający się z problemami zespół Formuły 1 i zostać mentorem młodego mistrza kierowcy. Przy okazji dostaje szansę, by raz jeszcze stanąć na szczycie.

M3GAN 2.0 / film / kino

Dwa lata po krwawej masakrze M3GAN – jej twórczyni, Gemma, decyduje się ją wskrzesić. Tym razem jednak ma jeden cel: pokonać Amelię, zaawansowaną broń wojskową stworzoną przez koncern zbrojeniowy, który ukradł technologię M3GAN.

• 29 czerwca

Nautilus 0 / limitowana seria - AMC

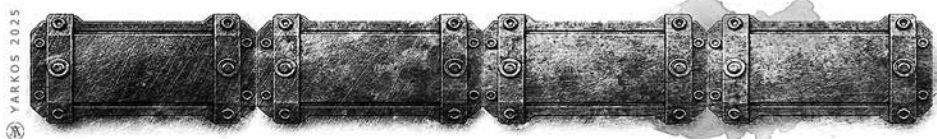
(może któraś z platform, nie wiem : zwiastun ma polskie napisy)

Pierwotnie zamówiony przez Disney+, ale następnie porzucony w ramach cięcia kosztów, ten 10-odcinkowy serial przygodowy stanowi *prequel* powieści Juliusza Verne'a *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi* i przedstawia historię pochodzenia* Kapitana Nemo (w tej roli Shazad Latif) oraz jego pionierskiej łodzi podwodnej, gdy szuka on zemsty na East India Mercantile Company, która go niesłusznie uwięziła.

Poszukiwania własne – opisy też ukradzione skąd tylko się dało, plus troszkę inwencji własnej; ale nie za wiele, bo ma być krótko, treściwie i na temat... No, prawie na temat.

* przyp. RedNacza:

No cóż... Ciągłe pokutuje, i to już raczej forever, ingerencja wydawcy czyniąca z Kapitana Nemo hinduskiego maharadzę walczącego z Imperium Brytyjskim – podczas gdy w autorskim zamierzeniu Verne'a był to powstaniec styczniowy walczący z carską Rosją (zwróćcie uwagę, że na Nautilusie brak jakichkolwiek elementów orientalnych, zaś kapitan posiadał gruntowne wykształcenie klasyczne!). A taka polsko-rosyjska wersja byłaby dziś nader na czasie...



YORICK Żdźbło

Statek sunął przez mroźne powietrze niczym żagnica nad jeziorem. Rdzawe poszycie porastała dorodna, zielona trawa tudzież zboże. Łany wierzały miarowo, napędzając aeroplan niczym płetwy żabnicy. Żagle zafurkotały, kokpit zadrgał, kadłub zarzęził żałośnie, a wskazania żyroskopu wyraźnie odchyliło się od przewidzianego kursu.

— Żałosny rzęch — syknęła, miażdżąc przekleństwo między zębami. — Kupa żelastwa — dodała z goryczą.

Wciąż złorzecząc, naciągnęła drelich, przezornie zajrzała przez wizurę peryskopu i żwawo wyszła na zewnątrz. Z żalem zauważyła, że przesadnie wierząc w przesady, stała się bezmyślnie nieuważna. Żrenice rozjarzyły się zimną zielenią, a ona zadrżała z przerażenia, widząc, jak przemarznięte i zziębnięte żdźbła żyta żółkną – żdźbło za żdźbłem ■

ZMARŁ JACEK IZWORSKI

11 maja, w wieku 74 lat, odszedł Jacek Izvorski – z zawodu bibliotekarz, a także pisarz, twórca bibliografii polskiej fantastyki naukowej oraz fan związany z fandomem wrocławskim. Zapamiętamy go jako autora powieści *Gwiazdne szczenię* oraz dylogii *Węzeł światów*. Wywiad z nim opublikowaliśmy w 21. numerze „Czerwonego Karła”, natomiast w numerach 19 i 21 zamieściliśmy jego krótkie opowiadania.

grzeszcz

ODSZEDŁ TADEUSZ OSZUBSKI

28 maja, w wieku 67 lat, zmarł Tadeusz Oszubski. Był członkiem Związku Pisarzy Polskich, parał się dziennikarstwem i publicystyką, ale fanom fantastyki najbardziej był znany z twórczości literackiej. Do dziś pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobiła na mnie jego *Sfora* – ekstraordynaryjna biografia niezwykle średniowiecznego poety francuskiego François Villona, który cudem wymigał się od stryczka. Napisał ponad 20 książek i około 200 opowiadań, a w maju obchodził 45-lecie swojej pracy literackiej. W ostatnich latach związany był z Wydawnictwem Stalker Books.

grzeszcz



Fot. Wojciech Sederko

NAGRODY „NOWEJ FANTASTYKI” 2025

Miesięcznik „Nowa Fantastyka” ogłosił listę nagród. Zagraniczną książką roku została *I mów, że moja chwała z przyjaciół się bierze. Listy 1972–1984* Ursuli K. Le Guin i Stanisława Lema; polską książką roku wybrano *Rozdroże kruków* Andrzeja Sapkowskiego; wznowieniem roku – *Ziemiomorze. Wydanie rozszerzone* Ursuli K. Le Guin; Nagrodę im. Macieja Parowskiego otrzymał Krzysztof Rewiuk; za zagraniczny komiks roku uznano *Człowiek cel* Toma Kinga i Grega Smallwooda, a polskim komiksem roku *Czarne serce* Łukasza Godlewskiego.

grzeszcz

Z KOŃCA MAJA NA POCZĄTEK CZERWCA...

...przełożony został start rakiety z polskim astronautą w załodze – Sławoszem Uznańskim-Wiśniewskim.

jpp

MIASTO HEWELIUSZA BLIŻEJ KOSMOSU

Organizowane przez Komisję Europejską (pod patronatem polskiej prezydencji w Radzie UE) tegoroczne Europejskie Dni Kosmiczne odbyły się w Gdańsku – w Amber Expo, 27–28 maja.

wg: polsa.gov.pl

GRZEGORZ ROSIŃSKI I PILOT ŚMIGŁOWCA W MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

14 czerwca w cytadeli na terenie MWP z okazji reaktywacji komiksowej serii *Pilot śmigłowca* odbędzie się spotkanie z Grzegorzem Rosińskim. Jakże zazdrościmy mieszkańcom stolicy.

grzeszcz



MARCIN BARTOSZ ŁUKASIEWICZ
Przekaz

Orbita okołoziemiska, stacja kosmiczna Pandora-I, nawiązywanie połączenia

Dzień dobry. Mówi do was starszy astronauta Michał Deukalion.

Wszystkim wam zostało kilka ostatnich minut życia.

To nie jest żart ani groźba. Stwierdzam fakt i nikt nie może nic z tym zrobić.

To już. Powiedziałem. A teraz wyjawię swoje powody.

Właściwie zdziwi mnie, jeśli ktoś jeszcze będzie mnie słuchał. Być może jednak nie każdy uwierzył. Być może ci, którzy uwierzyli, i tak nie mają nikogo bliskiego, z kim mogliby spędzić ostatnie chwile. Być może właśnie śpisz i nie słyszysz tego przekazu, i już nigdy się nie obudzisz. Być może bierzesz prysznic i śpiewasz swoją ulubioną piosenkę, okropnie przy tym fałszując. Zajmuję wszystkie kanały, przekaz właśnie emitują stacje i streamingi. Być może właśnie się denerwujesz, że nie możesz dokończyć swojego ulubionego serialu lub dowiedzieć się, kto mordował, bo w twoich słuchawkach leciał jeden z podcastów kryminalnych.

Nie szkodzi. To i tak nic nie zmienia.

Skoro na Ziemi jest obecnie lekko ponad dziesięć miliardów ludzi, to głęboko wierzę w to, że przynajmniej jedna osoba mnie słucha. Że słuchasz mnie ty. Chcę więc powiedzieć, co mną powoduje; dlaczego zdecydowałem się na ten krok.

Może chciałbym, żeby ktoś mnie rozgrzeszył. Może wydaje mi się, że jeśli choć jedna osoba zrozumie mój krok, to będzie on minimalnie mniej zły.

A jednak efekt będzie ten sam: kompletna, całkowita i nieodwracalna zagłada całej ludzkości.

Widzisz, kimkolwiek jesteś; może i jestem astronautą, może i jestem fizykiem, może spędziłem całe życie na uniwersytetach i szkoleniach, ale w moich żyłach płynie krew polskich szeptuch i ukraińskich wołchwów. Całe życie odrzucałem swoje pochodzenie, by u jego kresu – niemal kresu – zrozumieć, że pewne rzeczy podążały za mną krok w krok, choćbym uparczywie udawał, że jestem sam.

Ale zawsze wiedziałem, że nie jestem sam.

Moi pradiadawie przyszli do mnie we śnie. Dzięki temu wiem, co mogę zrobić.

Cóż, obawiam się jednak, że nie chcesz spędzić ostatnich kilku chwil życia na słuchaniu o moich przodkach. Nic dziwnego. Na twoim miejscu w ogóle nie chciałbym się słuchać.

Może więc wreszcie przejdę do rzeczy.

Jedyne pocieszenie, które mogę ci zaoferować... cóż, to fakt, że dopóki mówię, ty żyjesz. Życie. Wszyscy. Dopiero, kiedy skończę, będę mógł zająć się końcem ludzkości.

Brzmi to tak bardzo podniosłe.

Pewnie zastanawiasz się, co mną powoduje. *Dlaczego?* To ważne pytanie, prawda? Doprowadziło ludzkość tak daleko. *Dlaczego?* I jeszcze jedno: *jak?*

Ale zostawmy te rozważania. Przejdźmy do rzeczy.

Chcesz znać powód, prawda? Powód jest prosty. Powodem jest królik. Królik mojej żony. Brzmi to jak żart, prawda? A jednak mówię zupełnie poważnie.



rys. Jarosław S. Kosiorek (Yarkos)

YARKOS 2025



Posłuchaj mojej historii: wraz z żoną adoptowaliśmy królika, kiedy nasze marzenia o dzieciach runęły w gruzach. Stały się ruiną tak kompletną, że nie pozostało już nic. Mała szansa, ale się zdarza. Podwójna bezpłodność. To znaczy że i ja, i moja żona byliśmy całkowicie sterylni. To się nazywa fart, co? W innym wypadku próbowalibyśmy tych wszystkich tak zwanych innych sposobów, ale tu nie było na co czekać i czego zbierać.

No, ale nie o tym chciałem mówić.

Czy królik miał nam zastąpić dziecko? Mówię szczerze: nie wiem. Nie mam pojęcia. Czy zwierzę może zastąpić człowieka? Czy opieka nad niewielką, puchatą kulką tak bardzo różni się od zajmowania się noworodkiem?

Czy możemy wartościować życie? Czy jedno jest warte więcej od drugiego?

Zapamiętaj te dwa ostatnie pytania. Wróćmy do nich.

Nie potrafię jednak odpowiedzieć, jak to się stało. Nie lubiłem tego królika. Nazywałem go zasańcem. Roznosił swoje odchody po całym domu, uporczywie sikał na mój fotel. Niszczył meble i przegryzał kable. Zachowywał się jak pan tego domu, jak gdybyśmy wraz z żoną istnieli tylko po to, by mu służyć. Ja – kamerdyner w połączeniu z lokajem oraz kucharka i sprzątaczką w osobie mojej żony.

Z czasem jednak coś zaczęło się zmieniać.

Nie wiem, ile to trwało. Długo. Były kłótnie o to, że moja żona nie zamykała królika w klatce, a ten biegał po domu od samego rana i nas budził. O kolejny zniszczony sprzęt, o mokre plamy na tapicerce, o wszechobecne futro.

Przyzwyczałem się jednak. Królik oglądał z nami filmy. A kiedy moja żona płakała, gdy jedna z postaci w naszym ulubionym serialu poroniła, wskoczył między nas i trącił ją nosem.

Z czasem królik zaczął przenikać do kolejnych obszarów naszego życia. Zagarniał nas dla siebie coraz bardziej. A my mogliśmy tylko... to przyjąć.

Bo tego nam brakowało, prawda?

Właśnie tego.

Królik pojechał z nami na plażę i wariował na piasku. Uciekał przed słońcą wodą. Wybierał nową kanapę. Pomagał przy kopaniu grządek pod warzywa, które potem i tak miał zjeść.

Stał się ekwiwalentem dziecka, ale tylko na początku. Później przerósł nawet to. Nie był dzieckiem. Był towarzyszem. Na zawsze, na całą długość życia. Bo mieliśmy świadomość, że nigdy nie dorośnie, nie przyprowadzi go policja, nie pojedzie do studia do innego miasta.

Wiedzieliśmy, że nas nie zostawi.

I nie miał nas zostawić – przynajmniej nie mojej żony. Jej choroba uderzyła nagle i z siłą rakiety kosmicznej. Przemyciałem królika do szpitala. Dawałem łąpówki, kiedy nas przytępiano.

Żona wymogła na mnie przed śmiercią obietnicę: że zrobię wszystko, by królik żył jak najdłużej.

Może dziwi cię, że nie zdradzam imion. Cóż, nie są ważne. Za chwilę będzie tylko jedna żona: moja. I tylko jeden królik.

Jeśli zastanawia cię, jak przemyciłem swojego królika na stację kosmiczną, to możesz mi wierzyć, że nie było to proste. Jeszcze trudniejsze było przewiezienie odpowiedniego jedzenia. Ale i to nie było tak trudne, jak jeszcze jeden łądunek.

Dziesięć miliardów ludzi to dużo. Bardzo dużo. Nigdy nie było nas więcej.

Dziesięć miliardów ludzi to dziesięć miliardów historii. Dziesięć miliardów osób, które czują, żyją, rodzą się, umierają i są różne od siebie. Z jednej strony to tylko liczba, a z drugiej jest to liczba nieobejmowalna przez ludzki umysł. Możemy znać słowo miliard, jednak nie sposób wyobrazić sobie takiej masy ludzkiej. Wszystkich indywidualności. To po prostu niewykonalne.

Ale dziesięć miliardów to wciąż liczba. Może niewyobrażalna dla nas, ale czym innym były dla ówczesnych czary szeptuch i wołchwów?

One też miały swoją cenę.

Dziesięć miliardów to liczba wystarczająca, by wskrzesić to, co przemyśliłem. Nie tylko królika.

Dziesięć miliardów to dość, byśmy w trójkę nie musieli lękać się śmierci. Już nigdy.

Pamiętasz pytania, do których mieliśmy wrócić?

Czy możemy wartościować życie? Czy jedno jest warte więcej od drugiego?

Zastanawiam się, czy masz na nie dobrą odpowiedź. Czy myślisz, że życie można wartościować. Czy uważasz, że nie można. Czy jedno życie jest warte więcej od drugiego? Czy są warte mniej?

Czy trzy życia są warte dziesięciu miliardów?

Ja już wiem.

Ludzkość przestanie istnieć... ale nasza trójka znów będzie razem. Ja, żona i królik.

Nie panikuj. To nic nie da. Grasz w szachy? Jeśli tak, to wiedz, że figury są już rozłożone. Nie możesz nic zrobić, bo każdy ruch zakończy się przegraną.

A oprócz tego... i tak pora na mój ruch.

Może te dziesięć miliardów to aż nadto. Może wystarczyłoby mniej. Może moi przodkowie zawyliby ze zgrozy, gdyby zrozumieli, co zamierzam.

Nie szkodzi.

Myślę, że spodobałoby im się patrzeć na Ziemię z mojej perspektywy.

I pustka, triumf przyrody, kiedy znikną wszyscy ludzie.

Powiedziałbym *do widzenia*, ale wiem, że już nigdy się nie zobaczymy. Żegnaj; żegnaj ty i żegnaj, ludzkości. Skoro to pożegnanie, to pozwól mi jeszcze na kilka słów. Nigdy nie zrobiłaś nic dobrego, umiałaś tylko brać i myśleć wyłącznie o sobie. Niszczyć, mordować, palić, gwałcić, kraść, zamieniać hektary lasu deszczowego w monokultury. I po co?

Po co? Dla pieniędzy? Władzy? Poczucia siły?

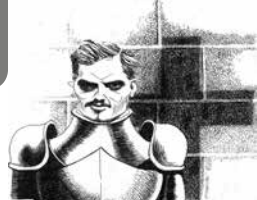
Sam nie jestem lepszy, ale moje działania przynajmniej przysłużą się do tego, by kogoś ożywić.

Cóż, pora kończyć. Wiedz, że mała częśćka ciebie – twojej życiowej energii – będzie na zawsze przy mnie. I wróci na Ziemię, kiedy ją oczyścę. Nie wiem tylko, gdzie konkretnie trafisz akurat ty. Nie ma jednak zbyt wielu opcji. Jeśli słuchasz uważnie, to już wiesz. Trafisz do mojego ciała, do mojej żony lub do królika.

Czy chcesz mieć wpływ na ostatnią rzecz w swoim życiu? Czy robi ci różnicę to, gdzie trafisz?

Na twoim miejscu wybrałbym królika ■





KORESPONDENCJA 161

PIEKŁO FRANKENSTEINA

Omawiając w poprzednim numerze „Informatora” czechosłowacką komedię *Jest pan wdową, proszę pana*, wspomniałem o transplantacyjnych sukcesach niejakiego dr. Sommera oraz o wadach jego metody, która przeszczepianym do ludzkiego ciała zwierzęcym tkankom odbiera wrażliwość na fizyczne bodźce. Rzuciłem też wówczas mimochodem uwagę, że mózg ludzki zamknięty w takim cieliącym ciele musiałby wcześniej czy później zwariować.

W powieści **Modyfikowany węgiel Richarda Morgana**, która była kolejną lekturą omawianą na giekaefowskim Dyskusyjnym Klubie Książki, kwestia relacji między ciałem a świadomością oraz zagadnienie śmierci zostały jeszcze bardziej, jak na rasową SF przystało, zagmatwane. Śmiałem nawet twierdzić, że doprowadzono je do skrajnej ostateczności, nie cofnięto się nawet przed pełnym transferem ludzkiej jaźni do rzeczywistości wirtualnej, który jest zresztą wykorzystywany w świecie przedstawionym opowieści m.in. do magazynowania nieupowłokowionych świadomości czy do prowadzenia wyrafinowanych wobec nich tortur.

Powieść Morgana w miarę zgrabnie łączy ze sobą cyberpunk oraz historię detektywistyczną; chociaż miłośnicy kryminałów na pewno poczują się zawiedzeni, bo i sama zagadka, i sposób jej rozwiązywania nie są najsilniejszymi elementami fabuły. Ale ponieważ współczesne kryminały także są czymś zupełnie innym niż popisy dedukcji genialnych detektywów w ich klasycznych realizacjach, nie można z tego powodu czynić Morgana zarzutem. Tropienie zbrodni stanowi pretekst do odkrywania technologicznych

osiągnięć powieściowego świata, jego społecznej struktury oraz kulturowej złożoności (choć pod tym względem starszy o blisko 10 lat cykl solarny Tomka Kołodziejczaka wydaje się i barwniejszy, i lepiej przemyślany).

Głównym wynalazkiem (zresztą pochodzenia pozaziemskiego), który zrewolucjonizował życie na Ziemi był tzw. stos korowy – info-cylinder z tytułowego modyfikowanego węgla – wszczepiany między kręgi szyjne, który, połączony z korą mózgową, zapisywał wszystkie doznania nosiciela. Urządzenie to fundowano wszystkim nowo narodzonym ludziom, zapewniając w ten sposób namiastkę nieśmiertelności, ponieważ każdą porcję danych zebranych w stosie można było dowolnie transferować zarówno do innych ciał, jak i do rzeczywistości wirtualnej, gdzie mogły czekać na ponowne upowłokowienie (czyli osadzenie w innym ciele). Najbogatsi tworzyli sobie magazyny własnych klonów – i kiedy ich ciała się starzały, przenosili się do młodszych, jeszcze nieużywanych. Mniej zamożni polowali na atrakcyjne ciała osób, które popadły w konflikt z prawem i trafiały do przechowalni na czas odbywania wyroku, a jaźń ich posiadać – do modyfikowanego węgla. Pozostali, jeśli chcieli przeżyć swoją śmierć, skazani byli na sztuczne produkty niskiej jakości lub pobyt w wirtualu. Międzyplanetarne lub chociażby tylko międzykontynentalne podróże odbywały się na zasadzie transferu danych do miejsc, w których czekały na „pasażerów” gotowe do upowłokowienia ciała (lub klony).

Najdalej idącą konsekwencją przymusowego wszczepiania stosu korowego jest

pozbawienie ludzkiego życia jego transcendentnego wymiaru. Zdaniem narratora duszę ludzką da się zredukować do zapisu pamięci zebranej przez stos, ciało zaś stanowi jedynie powłokę, którą można zmienić, a nawet wyeliminować (kiedy kogoś nie stać na nową fizyczną ekwiwalencję). Ponieważ możliwość wielokrotnego przenoszenia swojej jaźni do innych powłok dawała namiastkę życia wiecznego – lęk przed śmiercią, który skłaniał ludzi do poszukiwania sensu własnej egzystencji w relacji ze Stwórcą (choćby tylko domniemanym), zanikał. Jedynie wyznawcy katolicyzmu (wymierająca mniejszość na Ziemi) nakładali na swoje stosy kodowanie wykluczające wznowienie ich funkcji w innych ciałach. Zdaje się, że narrator kompletnie nie rozumie chrześcijańskiej relacji duszy i ciała oraz tego, że po zmartwychwstaniu ludzie otrzymają własne (tyle że idealne) ciała, które będą niepodobne do doczesnych (to dlatego uczniowie zdążający do Emaus nie poznali współpodróżującego z nimi Chrystusa). Czyniło to z katolików łatwe ofiary (a bo to pierwszy raz w historii?; przecież nawet współcześnie moi współwyznawcy stanowią największy odsetek ofiar zbrodni religijnych na świecie), ponieważ nie można było zgodnie z prawem wykorzystać ich świadomości, by zaskarżyła oprawcę. W powieści Morgana powstał w związku z tym projekt Rezolucji 653, by móc zamordowanych katolików „wskrzeszać” w celu wydobycia z nich zeznań.

Fabula *Modyfikowanego węgla* wiąże się właśnie ze sprawą jednego z morderstw dokonanych na katoliczce oraz z kwestią protestów przeciw rzecznej rezolucji coraz mniej licznych jej braci i siostr w wierze, którzy nie chcą dopuścić do złamania religijnego tabu. Ich zachowanie jest oczywiście niezrozumiałe dla większości mieszkańców Ziemi, a policjantka Ortega zionie wręcz do nich obsesyjną



nienawiścią, oskarżając Watykan o setki lat hamowania postępu ludzkości. Szkoda tylko, że nie zadała sobie wysiłku sprawdzenia, ilu tak naprawdę wyznawców Chrystusa (w tym duchownych) znajduje się wśród najwybitniejszych naukowców w historii. Tezy o wstrzymywaniu postępu przez papieży nie da się obronić, a wzywanie do rozumnego stosowania nowych technologii to przypomnienie o odpowiedzialności wobec tych, którzy z tych wynalazków będą korzystać. Jeśli nie potrafiemy przewidzieć konsekwencji ich użycia – to może nie warto się spieszyć.

To, z czym mamy do czynienia w tej powieści, jest najlepszą egzemplifikacją wyrażonej przeze mnie powyżej wątpliwości. Ludzkość zdecydowanie nie dorosła do technologii obcych; a i ona, stworzona głównie z myślą o odbywaniu podróży międzyplanetarnych, zdecydowanie nie miała służyć transgresji ludzkości

w byt pozornie nieśmiertelny (bo niecielesny). Nasza biologiczna konstytucja kompletnie nie współgra z możliwościami, które ofiarował człowiekowi stos. Nie możemy istnieć poza ciałem, więcej – nie możemy istnieć poza własnym ciałem. Dowodzą tego nawet pojawiające się u Morgana sceny seksu, kiedy w łóżku łądzą kochające się, ale przecież zupełnie sobie obce osoby, a to dlatego, że pod postacią ukochanego kryje się intruz albo umiłowana nosi zupełnie obce ciało. Oszaleć przecież można! Wspomina też narrator, że niewielu ludzi decyduje się na więcej niż jedno „wskrzeszenie” w zupełnie nowym ciele, bo szok jest zbyt wielki i wołać wieść życie w wirtualu, upowłokowani jedynie z okazji jakichś rodzinnych imprez (ale jako co? żywa skamielina?). Nawet mający odpowiednie środki do hodowania własnych klonów

bogacze, żyjąc po 300 i więcej lat (nazywa się ich przekornie Matami *per analogiam* do biblijnego Matuzalema, który żył 969 lat), stają się społecznymi dziwakami, mającymi w pogardzie zwykłych ludzi i stanowiącymi dla nich wręcz zagrożenie. Wizję przedstawioną w *Modyfikowanym węglu* postrzegam jako obraz piekła, a także przestrozę, że sprowadzimy je sobie na Ziemię sami, jeśli możliwości wykorzystania jakiejś technologii nie poddamy szerokiej refleksji na temat konsekwencji jej implementacji. Ja się w każdym razie na takie udogodnienia nie piszę. A tak w ogóle – to mi się ta książka nie podobała i do lektury nie namawiam, ani za kolejne części też się raczej nie wezmę. Zdaję sobie jednak sprawę, że wielu moim siostróm i bracióm w fantastyce taka lektura może przypaść do gustu ■

POTOP DECONSTRUCTIVUS

Teatralne dekonstrukcje klasycznych sztuk, w tym szkolnych lektur, są częstą pożywką współczesnej polskiej dramaturgii. Pół biedy, jeśli jeszcze w scenicznych realizacjach daje się odnaleźć zręby oryginału lub przynajmniej całość zmierza tam, dokąd pierwotnie kierował ją autor. Ale ileż to razy się zdarza, że – oglądając spektakl – nie poznajemy ani bohaterów, ani fabuły, ani nie docieramy do żadnego czytelnego sensu, poza przekonaniem, że ktoś się tu podszył pod uznany tytuł i kręci na nim swoje lody.

Najnowsza wersja **Potopu Henryka Sienkiewicza** w reżyserii **Michała Siegoczyńskiego** wystawiona w Teatrze Wybrzeże nie jest tego typu przedstawieniem, a na pewno – nie wyczerpuje znamion tego przestępstwa. Choć składa się z trzech odston (czyli tyłu, ile tomów liczyła powieść

Sienkiewicza – na tym przykładzie zresztą najlepiej wytłumaczyć, dlaczego **Władca Pierścieni** nie jest trylogią), to nie odtwarza fabuły narodowego arcydzieła, nie jest bowiem jego adaptacją. Reżyser postanowił zbadać, co jeszcze z tego 140-letniego tekstu przetrwało w polskiej historycznej pamięci, kulturze czy wyobraźni; które wydarzenia, którzy bohaterowie znajdują do nich dostęp, zasiedlają je i oddziałują na nie. Zamiar był to karkołomny, ale Siegoczyński karku nie połamał, wręcz przeciwnie: wypichcił spektakl wciągający, chwilami zjadliwy, ale przy tym skrzący się humorem i za jego sprawą – nieobrazoburczy. Mimo że Sienkiewicza wolę *sauté*, a do wszelkich zapędów dekonstrukcyjnych podchodzę z dystansem, nie potrafiłem się powstrzymać przed entuzjastycznym aplauzem, kiedy kurtyna opadła po raz ostatni.

Reżyser rozszczępił postać chorążego orszańskiego na kilka wcieleń i umieścił je w różnych epokach od czasów potopu do współczesności (ten fantastyczno-naukowy zabieg to wystarczający powód, by wspomnieć o tym przedstawieniu na tych łamach). Kmicicowi towarzyszą głównie Oleńka, Ciotuchna, Wołodyjowski i Zagłoba, natomiast pozostali (m.in. przeor Kordecki, król szwedzki Karol X Gustaw czy król polski Jan Kazimierz) dołączają do niego w miarę rozwoju akcji. Ten bitny rycerz, nieszczęśliwy własnej krwi w żadnym boju, towarzyszy polskim dziejom w różnych momentach naszej historii: jako ułan, a następnie partyzant w II wojnie światowej, a także zupełnie współczesny żołnierz biorący udział w misjach specjalnych. Za każdym razem musi stawić czoło swemu przekleństwu wiecznego wojownika; nic zatem dziwnego, że w pewnym momencie dopada go syndrom stresu pourazowego, z którym nie potrafi sobie poradzić nawet przy pomocy wojskowej psycholog. Ten jakże współczesny sznyt na pomnikowym obrazie kresowego watałki nadaje mu bardziej ludzkich rysów i pozwala zobaczyć w nim bohatera borykającego się z aktualnymi problemami.

Ponieważ dokonania twórcy Trylogii miały niebagatelny wpływ na naszą narodową kulturę, Siegoczyński również na nią kieruje swoje krytyczne spojrzenie. Pojawiają się np. koryfeusze XIX-wiecznej elity polskich literatów oczekujący, któremu z nich przypadnie pierwszy literacki Nobel. Nie omieszkują przy tym wygłaszać swoich opinii na temat prozy Sienkiewicza, choć trudno oddzielić ich oceny dyktowane przez zazdrość od tych będących wynikiem rzetelnej analizy (np. Konopnicka namawia Oleńkę, żeby się pisarzowi postawiła, poszła na studia i zrobiła coś ze swoim życiem; w innej scenie ta sama Oleńka dziękuje Henrykowi za sprawczość, w którą ją wyposażył,

bo może sobie zrobić parę kroków w jedną albo w drugą stronę). Sam Sienkiewicz też nie pozostaje dłużny kolegom i koleżankom po piórze, choć przyznaje się Konopnickiej, że zazdrości jej... *Roty*. Reaguje także, czasami z irytacją, na napływające do niego postulaty związane z losami bohaterów *Potopu* (powieść ukazywała się przecież pierwotnie w odcinkach) i zabitego Kmicica wskrzesza (scena ta utrzymana jest w stylu horroru o wstających z grobu wampirach czy zombie; nawiasem mówiąc: Andrzejowi umieranie w tej opowieści prawdziwie weszło w krew, bo nie tylko z pojedynku z Wołodyjowskim wychodzi usieczony, ale co się wda w jakąś przygodę, to kończy ją bez ducha – nie lubił go coś chyba autor, oj nie lubił).

Inscenizacja dotyka również, a jakże, kwestii relacji polsko-szwedzkich. Opowiada o nich z przymrużeniem oka, choć nie są to przecież sprawy zabawne. Współczesny



szwedzki ambasador zarzeka się, że z ich strony potop nam już nie grozi, bo teraz jesteśmy razem w NATO. By podkreślić dobrą wolę – pojawia się w towarzystwie pływającej w dyskotekowych strojach z lat 70. XX wieku grupy ABBA. Ale chwilę później, po kolejnym czasowym skoku, słuchamy szwedzkiego króla, który radzi, by się nacieszyć tą chwilą, gdy Polska była jeszcze mocarstwem, bo po przejściu przez nią jego wojsk już nim nie będzie. I to akurat najprawdziwsza prawda, bo tamta wojna doszczętnie nasz kraj zrujnowała (zrabowano lub zniszczono blisko 50% całego majątku ówczesnej Rzplitej), a na dodatek przetrzebiła (zginęło ok. 40% ludności). Jej następstwami były także nie tylko zrzeczenie się polskich pretensji do szwedzkiej korony i utrata Inflant, ale przede wszystkim zwierzchności nad Prusami Książęcymi, które się całkowicie od Korony Królestwa Polskiego usamodzielniały, a w trochę ponad 100 lat później rozpoczęły proces wymazywania Polski z mapy Europy. W tej perspektywie wypowiedź Sienkiewicza po odebraniu Nagrody Nobla, że traktuje ją jako namiastkę reparacji, nie jest tylko kiepskim politycznym żartem na aktualny temat. Na pocieszenie dostajemy symboliczną scenę bitwy pod Warką, w której trójkę szwedzkich piłkarzy gromi, w rytmie

disco polo (gry z popkulturą to ważny element tej inscenizacji), jeden, ale za to potężnie napakowany polski napastnik z młotem (chyba Thora) i husarskimi skrzydłami przyczepionymi do pleców (komiksowych przerysowań w tej sztuce także nie brakuje).

Kiedy mówi się o *Potopie*, nie sposób nie wspomnieć o roli, jaką w unieśmiertelnieniu tego dzieła odegrał Jerzy Hoffman oraz jego filmowa adaptacja („Złote Lwy” na pierwszym Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku). Do tego aspektu również, na swój sposób, odniósł się Siegoczyński. Przywołał m.in. słynną ogólnonarodową dyskusję, czy Daniel Olbrychski (grany przez tego samego aktora, który kreował Kmicica – Piotra Witkowskiego) może zagrać chorążego, skoro w *Panu Wołodyjowskim* był Azją Tuhań-Bejowiczem. Nie pamiętam osobiście tamtych sporów, ale były ponoć gorące; w końcu Hoffman postawił na swoim, a Olbrychski odwdzieczył się zagraniem jednej ze swoich najbardziej ikonicznych ról.

Gdańska wariacja na temat sienkiewiczowskiego arcydzieła, epoki, która je zrodziła, historycznej prawdy o świecie przedstawionym powieści czy wreszcie oddziaływaniu na polską kulturę i społeczeństwo czasów późniejszych, to nie tylko przenikliwe, choć



Potop; reż. Michał Siegoczyński; fot. Teatr Wybrzeże

niepozbowione humoru, rozprawianie się z narosłymi wokół niego mitami (wspominałem tu ledwie o kilku wybranych aspektach), ale i nowoczesny sposób realizacji. Przedstawienie wykorzystuje wszelkie techniczne udogodnienia, którymi dysponuje Teatr Wybrzeże: obrotówkę, zapadnie, a także system multimedialny. Ten ostatni był niezbędny np. do projekcji scen retrospektywnych, ale również w momentach, w których akcja przenosiła się do odległych rejonów sceny, w których bez kamery śledzącej poczynania aktorów sprzężonej z ekranem nad sceną, widzowie nie mieliby szans niczego zobaczyć. Jeden tylko z pomysłów nie do końca mnie przekonał – popisy wokalne. Co na scenie w opowieści o Kmicicu robi np. Bob Marley? Lepiej by chyba wypadł Jim Morrison śpiewający *The End*... I dlaczego w ostatnim wykonie Piotr Witkowski, w otoczeniu swoich przyjaciół piastujących jego dziewiętnastoletnie dzieci (scena trochę jak z finału *Misia* Stanisława Barei), nie zaśpiewał *Pana Kmicica* Jacka Kaczmarskiego? Gdyby tak było – uznałbym tę inscenizację za arcydzieło równe oryginałowi.

Sienkiewicz napisał Trylogię ku pokrzepieniu serc rodaków żyjących pod zaborami. Ale nie tylko wspomnienie czasów chwały

naszego oręza było w tym cyklu ważne. Kmicic wszak to przypadek arcypolski: hulaka, degenerat, gwałtownik, dopuszczający się wreszcie – może i mimowolnie, ale przecież jednak – zaprzaństwa. I kiedy osiąga już jako człowiek moralne dno – ni z tego ni z owego się odradza; odradza przez miłość do kobiety, którą swoimi występami utracił. W ogniu walk, nie szczędząc krwi i życia, odkupuje swoje winy i odzyskuje najdroższą sercu ukochaną. Oto największa pociecha, którą Sienkiewicz daje swoim czytelnikom: nie ma ludzi tak złych, którzy nie mogliby się wyzwolić z pęt własnych podłości.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Każdy z czytelników *Potopu* ma w nim swoje ulubione sceny, które stanowią dla niego kwintesencję powieści. Siegoczyński, podobnie jak Jackson przy kręceniu *Władcy Pierścieni*, z wielu z nich musiał zrezygnować. Dlatego nie ma w tym przedstawieniu m.in. wysadzenia kolubryny, przypiekania Kuklinowskiego czy Kiemliczów. Ale warto się z tą daleką od ortodoksji wizją powieści zapoznać, by zrozumieć, za co tak naprawdę ją kochamy. Bo kochamy ją przecież, prawda? ■

Wasz wielkokacki korespondent

OGAN *Myśli nieSForne*

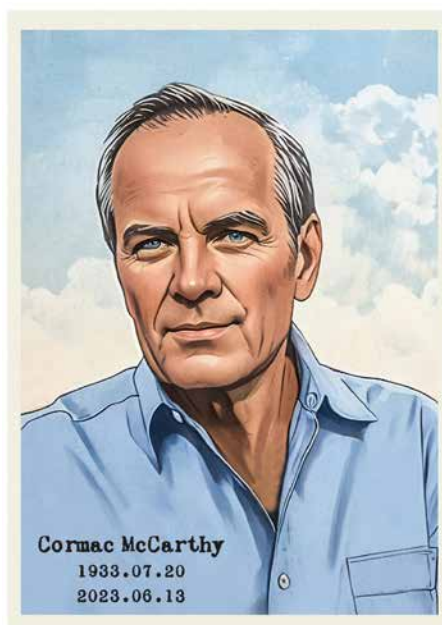
W moim pierwszym laptopie, kupionym blisko 20 lat temu, nie było napędu optycznego i chcąc z niego skorzystać, trzeba było podłączyć doń zewnętrzną nagrywarkę. Żeby było jeszcze zabawniej – należało tego dokonać za pomocą karty Express wciśniętej do specjalnego gniazda, bo USB też nie było na wyposażeniu. Współcześnie zewnętrzne napędy znowu wróciły do łask, bowiem w nowych laptopach próżno ich szukać. I chcecie mnie przekonać, że w hardware nastąpił jakiś postęp... ■



KRZYSZTOF SZKURŁATOWSKI

DROGA – CZYLI TO JEST KRAJ DLA STARYCH MASZYN

Z Poczty Polską dzieje się coraz gorzej. Pod koniec lat 80. listonosz przynosił mi korespondencję codziennie, 10 lat później zjawiał się co dwa–trzy dni, w zeszłym roku był u mnie raz w tygodniu, zaś obecnie... nie bywa całymi tygodniami. A moja intensywność korespondowania w wymienionych wyżej okresach nie zmniejszyła się, bynajmniej, znacząco. Dziś doręczyciel wyspał mi do skrzynki wór przesyłek – z trzech minionych tygodni. Czego tam nie było: faktury, korespondencja z banku, pisma urzędowe, trzy listy, książka, i 16 pocztówek. Przegląd zacząłem od tych ostatnich. To nie mógł być przypadek, że na wierzchu sterty leżała pocztówka upamiętniająca Cormaca McCarthy'ego, a zaraz pod nią reprodukcja plakatu reklamowego firmy Olivetti. To właśnie one natchnęły mnie do napisania tego tekstu.



Pocztówki, które wyjąłem ze swojej skrzynki pocztowej i stały się impulsem do napisania tego tekstu

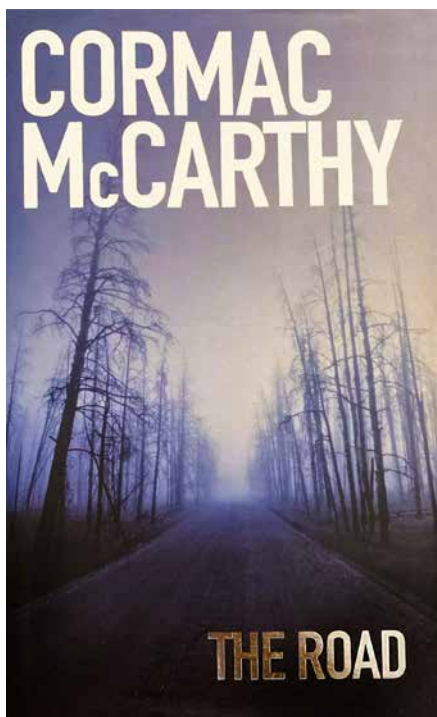
Wczervcu mijają dwa lata od śmierci Cormaca McCarthy'ego – pisarza, którego zaliczam do piątki najlepszych powieściopisarzy amerykańskich XX wieku. Przypuszczam, że nie trzeba go przedstawiać większości miłośników dobrej literatury, w tym fantastyki. Ja

zaś z jego twórczością zetknąłem się w roku 1996, gdy dostałem w prezencie, bardzo przepraszam, ale nie pamiętam od kogo, polski przekład powieści *Ręce konie* (tłum. Jędrzej Polak). Po tej lekturze zacząłem przypuszczać, że to dobry pisarz. Wiedziałem jednak, że po

przeczytaniu jednej książki nie należy stawiać zbyt stanowczych osądów. Szukałem więc w księgarniach i bibliotekach czegokolwiek innego autorstwa McCarthy'ego. Nie znalazłem niczego, bo była to jedyna książka, którą mu w Polsce przełożono. Aż do roku 2000, gdy ukazała się u nas *Przeprawa* (tłum. Jędrzej Polak). Ta powieść też mi się spodobała, ale wciąż miałem wrażenie, że czegoś mi w tym pisarstwie brakuje. Zastanawiałem się, czy może w tłumaczeniu zagubiono jakiś istotny pierwiastek twórczości Amerykanina. Podzieliłem się swoją wątpliwością z żoną – pogadałśmy o tym kwadrans, a dwa dni później nie pamiętałem o sprawie.

Przypomniałem sobie tę rozmowę dokładnie 24 grudnia 2006 roku, a katalizatorem dla mojej pamięci był prezent znaleziony pod choinką. Było nią, ślicznie zapakowane w ślicznusi papier i eleganckie wstążeczki, pierwsze brytyjskie wydanie *The Road*, najnowszej powieści McCarthy'ego. Najpierw bardzo się ucieszyłem, a potem zacząłem się troskać – jak ja to przeczytam ze swoją, hurraoptymistycznie mówiąc, średnią znajomością angielskiego...

Kiedy emocje wigilijnego wieczoru zaczęły wygasać, żona zarządziła kąpiel oraz sen. Skorzystała przy tym z prawa pierwszeństwa do ablucji. Kiedy przyszła kolej na mnie, wziąłem otrzymaną książkę do wanny, w zamiarze przekartkowania. Kąpiel skończyłem rankiem następnego dnia, około 7.30. Byłem zmarznięty, bo okresowo zapomniałem o konieczności dolewania ciepłej wody. Moja skóra na całym ciele była pomarszczona od wodnej maczanek, a umysł wstrząśnięty zawartością książki, z której wówczas rozumiałem pewnie połowę słów. A sprawy też nie ułatwiała mi bezintrygująca składnia czytanego tekstu. Jednak za wszystko wystarczyły mi emocje bijące z niego, aż nadto czytelne. Jak dotąd to żadna inna książka mi tak nie zrobiła, a przeczytałem



Okładka pierwszego brytyjskiego wydania powieści *The Road*, Cormaca McCarthy'ego, z którą w wannie spędziłem wigilijną noc 2006 roku

ich niemało. Można więc śmiało powiedzieć, że to ze wszech miar książka fantastyczna jest. Po tej apokaliptycznej lekturze byłem już pewien, że pan Cormac jest pisarzem genialnym. I w dodatku znalazł w swojej postapokaliptycznej powieści miejsce na dwustronicowy opis porzuconego w lesie pociągu pasażerskiego z wagonem restauracyjnym i lokomotywą spaliniową. Ujął tym moją duszę kolejarza z pierwszego wykształcenia.

W roku 2008 doczekałem wreszcie przekładu *The Road* na język polski (*Droga*). Robotę, bardzo dobrą, zrobił tu Robert Sudół. Jego sposób tłumaczenia spodobał mi się bardziej niż to, co znałem z *Ręcznych koni* i *Przeprawy*. Ale też trzeba powiedzieć, że autorski język

Drogi różni się dość znacząco od tego z powieści wcześniejszych.

Kiedy już McCarthy wciągnął mnie *Drogą* do swojego fanklubu – czytałem już wszystko, co napisał i to, co o nim samym napisano. Pod koniec roku 2009, nagle w światowej prasie wysypały się niusy o Cormacu McCarthy. Gdzie o nim nie pisano! W „The Telegraph”, „Guardianie”, „New York Timesie”, „New Yorkerze”, „Wire”, w „Commonweal”... Zdziwiłem się mocno, gdy odkryłem, że nie chodzi, bo ja wiem, o Nobla literackiego, a o narzędzie jego pracy – maszynę do pisania. Niby żadne wielkie halo taka maszyna do pisania, ale co innego kiedy dom aukcyjny Christie’s sprzedaje ją na licytacji w Nowym Jorku za kwotę 254 500 dolarów (w tym opłaty aukcyjne). Niebotyczną kwotę wyłożył anonimowy nabywca ze Stanów Zjednoczonych. Bardzo, bardzo droga okazała się być ta stara, spracowana, zepsuta już maszyna do pisania...

Gdy maszyna zepsuła się pisarzowi – ten poskarżył się przyjacielowi, profesorowi Johnowi Millerowi z Santa Fe Institute i wspominał, że trzeba ją będzie wyrzucić i postarać się o nową. Ten zaś stwierdził, że żał wyrzucać, i może by tak spróbować ją sprzedać, bo Instytutowi bardzo przydałyby się jakieś fundusze na remont. Pisarz się zgodził, więc maszyna trafiła do domu aukcyjnego Christie’s. Tam oszacowano, że cena końcowa za przedmiot nie przekroczy 20 tysięcy dolarów. No i się fachowcy pomylili grubo, a na konto Santa Fe Institute wpłynęło 210 tysięcy!

W przeszłości trafiały się na aukcjach drogie maszyny do pisania, na przykład Royal Quiet De Luxe Ernesta Hemingwaya poszła za 2750 dolarów, Hermes 3000 Toma Hanksa za 8750 dolarów, Royal Empress Hugh Heffnera za 30 tysięcy dolarów. Dotychczas rekordową cenę osiągnął złożony model Royal Quiet Deluxe Portable, należący Iana Fleminga (tego

od przygód Jamesa Bonda). Sprzedano tę maszynę w 1995 r. za 90 309 dolarów. Ale nawet ten ostatni wynik, to niespełna połowa ceny za maszynę McCarthy’ego! Zaiste Ameryka to jest kraj dla starych maszyn!

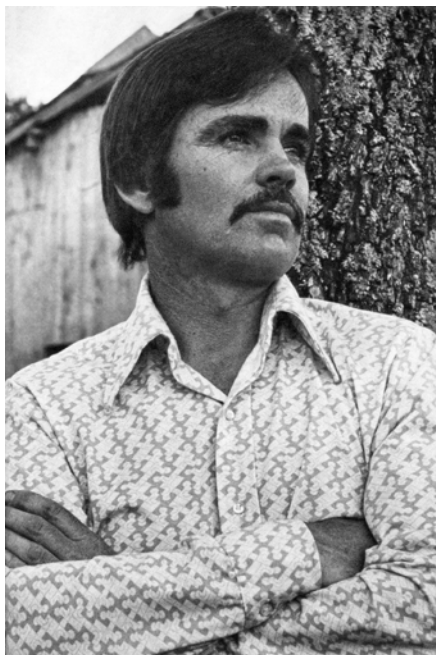
A może jednak ćwierć miliona dolarów to wcale nie była aż tak wygórowana cena, jak mogłoby się wydawać? W końcu McCarthy był pisarzem wybitnym, wielokrotnie nagradzanym (Pulitzer i National Book Award to nie w kij dmucha!), ekranizowanym, bardzo często wymienianym w gronie kandydatów do literackiego Nobla. No i przecież na zliczowanej maszynie, zanim się zepsuła, powstała cała jego twórczość. W liście uwierzytelniającym przygotowanym dla domu aukcyjnego pisarz nadmienił: „Nigdy nie była serwisowana ani czyszczona poza przedmuchiwaniami kurzu węzłem stacji benzynowej. Napisałem na tej maszynie wszystkie książki, w tym trzy nieopublikowane. Wliczając wszystkie szkice i korespondencję – byłoby to około 5 milionów słów na przestrzeni 50 lat”.

Pięćdziesiąt lat bezawaryjnej pracy i pięć milionów wystukanych słów – zaiste, genialne dzieło inżynierii! Mówimy o włoskiej maszynie Olivetti Lettera 32, na której McCarthy pracował ponoć od roku 1963, choć pierwotnie deklarował jako rok nabycia 1958, potem jednak zweryfikował to twierdzenie. Urządzenie kupił w lombardzie w Knoxville. Już wtedy było drogie, choć oczywiście nie aż tak jak na licytacji. Pisarz wydał na nią mniej więcej dwie i pół przeciętnej amerykańskiej dniówki, czyli 50 dolarów. Wcześniej używał maszyny Royal Quiet Deluxe. Zakup Lettery był podyktowany względami praktycznymi – jak McCarthy powiedział po latach: *Próbowałem znaleźć najmniejszą, najlżejszą maszynę do pisania [...]. Lettera 32 spełniała jego oczekiwania – ważyła bowiem, razem ze zgrabną transportową walizeczką, 5,2 kg. No i była*

bardzo kompaktowa, w opakowaniu transportowym mierzyła $35,1 \times 34,6 \times 10,5$ cm. Zainwestował w nią, choć kiepsko mu się wiodło. I ten stan trwał dość długo, zaś on był bezkompromisowy w swoim podejściu do pracy twórczej – chciał się skupiać tylko na niej. Jego druga żona opowiedziała: „Ktoś dzwonił i proponował mu dwa tysiące za opowiadanie na uniwersytecie o swoich książkach. A on im odpowiadał, że wszystko, co ma do powiedzenia, zostało spisane w jego dziełach. I w ten sposób jedliśmy fasolę przez kolejny tydzień”. Na początku lat 60. mieszkał w nędznym hotelu w nowoorleańskim French Quarter. Za pokój płacił zaledwie 40 dolarów miesięcznie, a i tak wyrzucono go stamtąd za niepłacenie rachunków. Wziął więc swoją maszynę, walizkę w drugą rękę i ruszył szukać noclegu gdzie indziej. Prócz maszyny stałą towarzyszką jego ówczesnej tułaczki była stuwatowa żarówka, by móc czytać w nocy, niezależnie od tego, gdzie trafi. O żarówce opowiedział w jedynym wywiadzie udzielonym w latach 90. Richardowi B. Woodwardowi. Dziwne, prawda? Niektóre z opowieści i twierdzeń pisarza mogą budzić wątpliwości... Przykładem jest rok zakupu słynnej już maszyny (ten skorygowany z 1958 na 1963). Otóż maszyny Lettera 32, których numer seryjny, wybity na ramie, zaczynał się od liczby 200, zostały wyprodukowane w roku 1964. Maszyna McCarthy'ego nosi numer 2143668 – zatem, z oczywistych względów, pisarz nie mógł jej kupić w roku 1963, jak deklarował...

Inne jego biograficzne wyznania także należy przyjmować z ostrożnością. Zdaje się, że jak wielu innym pisarzom zdarzało mu się konfabulować, albo przynajmniej koloryzować. Ja jednak, z powodu jakości jego prozy, jestem w stanie wybaczyć mu każdą autobiograficzną błagę.

Za to w powieściach McCarthy'ego można trafić na wiele wątków pochodzących z jego



Cormac McCarthy w roku 1973. Fotografia autorstwa Davida Styles'a. Ci, którzy oglądali ekranizację powieści *To nie jest kraj dla starych ludzi*, wyreżyserowaną przez braci Cohen, z pewnością dostrzegą fizyczne podobieństwo pisarza do Llewelyna Mossa, którego zagrał Josh Brolin

życia, choć je kamuflował. Przykładem może być Llewelyn Moss, bohater jednej z moich ulubionych powieści *To nie jest kraj dla starych ludzi* (wyd. polskie 2008). Llewelyn ożenił się ze słodką Carlą Jean, gdy ta miała 16 lat. Dokładnie w tym samym wieku była Augusta Britt, gdy poznał ją Cormac McCarthy. On miał wówczas 42, a mimo to połączyło ich uczucie. Wkrótce zaczęli żyć w zakazanym prawem związku – ona była zbyt młoda, a on miał żonę. Swoją przyjaciółkę, kochankę i muzę uwieczniał w powieściach niejednokrotnie. Nie pytając o zgodę. Niekiedy lokował ją w sytuacjach romantycznych, ale częściej w nieprzyjemnych, jak na przykład w *Pasażerze* (wyd. polskie 2023). Oprócz tego w tej powieści również

pojawia się motyw szesnastolatki wydanej za starszego mężczyznę. Ale, ale... ja nie o miłosnych perypetiach McCarthy'ego miałem pisać, lecz o jego maszynie! Okazuje się jednak, że połączyła się ona także z uczuciowym życiem pisarza. W wywiadzie udzielonym w zeszłym roku pismu „Vanity Fair” Augusta Britt opowiedziała o tym, jak pan Cormac sfalszował w urzędowym akcie urodzenia rok jej przyjścia na świat. „Nie ma niczego bardziej romantycznego niż oglądanie mężczyzny fałszującego twój akt urodzenia” – oznajmiła Augusta. Użył do tego... wspomnianej maszyny Olivetti Lettera 32! Zatem była to niewątpliwie maszyna z interesującą historią.

Á propos historii maszyny – to nawet abstrahując od tego konkretnego egzemplarza, należącego do McCarthy'ego, Lettera 32 okazuje się być niezwykle ciekawym dziełem inżynierii i designu. Zaprojektował ją wzorniczo Marcello Nizzoli, ale nie była ona pierwszym jego pracą dla firmy Olivetti. Wcześniej, w roku 1946, Nizzoli zaprojektował (za mechanikę odpowiadał Giuseppe Beccio) maszynę

Olivetti Lexikon 80. Przy jej tworzeniu sięgnął rozwiązań stosowanych w przemyśle motoryzacyjnym – lekkość linii i charakterystyczne krzywizny. Dwa lata późniejsza Lettera 22 jest jeszcze lżejsza i praktyczniejsza w przenoszeniu. Wszystko w niej, od klawiszy po elementy obudowy, sprawia wrażenie wygładzonego i zaokrąglonego. Lettera 32, która jest niemal bliźniaczką starszej siostry, opracował w roku 1963. Nizzoli delikatnie zmodyfikował bryłę z poprzedniego modelu, ale zmienił klawisze na bardziej kwadratowe. Maszyny stworzone przez niego szybko stały się klasykami, szczególnie obie Lettery. Pewnym wyznacznikiem wartości dzieła projektanta jest to, że wspomniane trzy maszyny znalazły się w kolekcji nowojorskiego Muzeum Sztuki Nowoczesnej (MoMA). Cieszyły się one popularnością użytkowników nie tylko ze względów estetycznych, lecz przede wszystkim ze względu na ergonomię i wysoką niezawodność. W roku 1959 maszyna Olivetti Lettera 22 znalazła się na szczycie stumiejscowej listy (opublikowanej przez magazyn Forbes) najlepiej zaprojektowanych



Maszyny Olivetti – Lettera 32 i Lettera 22

produktów użytkowych ostatniego stulecia. Ranking stworzył Jay Doblin, dyrektor Instytutu Projektowania w Illinois Institute of Technology (IIT), na podstawie ankiety wysłanej do 100 najlepszych projektantów, architektów i wykładowców wzornictwa. Prócz Lettery znalazły się na liście także takie projekty, jak samochody Porsche i Cisitalia, eleganckie fotele Eamesa, Aalto i Saarinen, a także sprzęty gospodarstwa domowego o formach zapowiadających erę podboju kosmosu. W 2019 roku, aby uczcić 60. rocznicę powstania oryginalnej listy, magazyn „Fortune” ponowił pomysł listy. Tym razem na liście znalazła się maszyna do pisania Olivetti Lettera 32. Wyobrażacie to sobie?! W czasach laptopów, smartfonów, PC-tów na 59 miejsce listy trafia mechaniczna maszyna z roku 1963! To z pewnością o czymś świadczy...

Nic więc dziwnego, że prócz Cormaca McCarthy’ego maszyn Olivetti (różnych modeli) używali m.in. Bob Dylan, Sylvia Plath, James Purdy, Leonard Cohen, John Updike, Günter Grass, Ann Landers, Gabriel García Márquez, Thomas Coraghessan Boyle. Francis Ford Coppola na Letterze 32 napisał scenariusz *Ojca chrzestnego*, a Thomas Pynchon też pisał na tym modelu, tak go lubił, że wspominał o maszynie na początku powieści *Inherent Vice* (*Wada ukryta*, pol. wydanie 2011).

Niestety, nie udało mi się znaleźć informacji o tym, który z polskich twórców używał Lettery. Osobiście znam w naszym kraju jedną osobę wciąż używającą tej maszyny, ale to dość marny twórca jest... Kupiłem swoją Letterę 32 jesienią roku 1996, w efemerycznym lombardzie umiejscowionym w baraku przy gdańskiej ulicy Hibnera (obecnie Do Studzienki). Zakup wynikał z rozpaczy. Wpędziła mnie w nią praca przy pisaniu pracy magisterskiej na enerdownskiej maszynie Erika Model 60. Niby pisać się dało, no bo przecież w końcu



Autor tekstu, ze starszą od siebie o pięć lat maszyną Olivetti Lettera 32, której używa do dziś

jakoś napisałem te kilkadziesiąt stron, ale komfortowe to nie było. Raz, że wprawdy jeszcze nie miałem, a dwa, że zaczynało się to wschodnioniemieckie ustrojstwo, czcionki nie wracały na swoje miejsce, zaś w klawisz z literą „a” trzeba było wałnąć dwa razy, by się odbiła porządnie na papierze. Ta maszyna zasłużyła na osobną opowieść – i może się kiedyś pokuszę o jej spisanie.

Po zakończeniu studiów okazało się, że magisterka nie będzie ostatnim moim dłuższym tekstem i za moment przyjdzie mi pisać artykuły, recenzje, sprawozdania i Wielki Mziemu raczy wiedzieć co jeszcze. O komputerze mogłem sobie wtedy tylko pomarzyć, więc zacząłem poszukiwania ogłoszeń prasowych o sprzedaży maszyn. Kilka razy umówiłem się nawet na oglądanie oferowanego sprzętu – wszystkie maszyny były śmiesznie tanie,

ale stanem technicznym niestety mocno odbiegały od moich oczekiwań. Miałem jednak szczęście i trafiłem do wspomnianego lombardu. Pierwsza wizyta w tym miejscu i od razu taki strzał: na magazynowym regale z ocynku i dykty stała śliczna Lettera 32 w kolorze morskiej zieleni. Jej stan był niemal doskonały i miała oryginalną, stylową, zadbaną walizczkę transportową. Wypróbowałem sprzęt natchmiaszt – oczywiście działała idealnie. Cena? Nie pamiętam dokładnej kwoty, ale na pewno było to o wiele mniej, niż za swoją dał McCarthy, i także mniej niż dwie średnie dniówki polskiego robotnika u zarania III RP. Zdaje mi się, że zapłaciłem za tę maszynę tyle, co za trzy pomidorówki we wrzeszczańskim barze mlecznym Syrena.

Mój nowy nabytek pokochałem od pierwszej napisanej strony. Sprzęt naprawdę fantastyczny, a pisanie na nim jest niezwykle przyjemne! Kocham tę maszynę do dziś. Z czasem zacząłem interesować się maszynami do

pisania nie tylko na płaszczyźnie praktycznego użytkowania. Podobały mi się te urządzenia coraz bardziej, więc w moim domu zaczęły się pojawiać kolejne. Teraz mam ich kilkanaście, ale Lettera nadal jest niedoścignionym wzorem. Właściwie powinienem napisać w liczbie mnogiej – Lettery, bo jakiś czas temu kupiłem starszą siostrę trzydziestki dwójki, czyli Letterę 22.

A co zrobił Cormac McCarthy po oddaniu na licytację swojej uszkodzonej maszyny? Rzucił pisanie, przesiadł się na komputer? Bynajmniej! Przyjacieli kupił mu kolejną Letterę 32. Za jedenaście dolarów. Jej wysyłka do nabywcy kosztowała więcej niż samo urządzenie. Niestety, nie wiem, co się z nią stało po śmierci pisarza w czerwcu roku 2023. Nie wiem też, co się stanie z moimi Letterami, kiedy i ja podzielę los Amerykanina. Na pewno nikt nie kupi ich za ćwierć miliona. Nie jestem bowiem McCarthym, a Polska nie jest krajem dla starych maszyn ■

rys. Adam Mateja



AMAT

MICHAŁ BLEJA CYBERPUNK?

Zanim przejdę do sedna – muszę się wytłumaczyć. Otóż: spośród wszystkich podgatunków science fiction cyberpunk jest prawdopodobnie tym, w którym orientuję się najsłabiej. Oczywiście za młodu, jak każdy nerd, przyjąłem obowiązkową dawkę Dicka, Trylogię Ciągu Gibsona i obejrzałem Łowcę androidów pięćset razy, ale od ładnych paru lat nie mogę pozbyć się wrażenia, że rzeczywistość stała się znacznie bardziej cyberpunkowa od fikcji. Zdarzyło mi się rozegrać sesję RPG w Cyberpunk Red, gdzie warunkiem ukończenia przygody było ustalenie położenia jednego z korporacyjnych budynków. Przez całą rozgrywkę nie mogłem pozbyć się wrażenia, że (mając do dyspozycji smartfon, który spoczywał w mojej realnej kieszeni) rozwiązałbym tę zagadkę w ciągu dwóch, góra trzech minut. Jak się okazało – pozostali gracze mieli tak samo. Była to nasza ostatnia sesja w tym systemie.

Dlaczego w takim razie sięgnąłem po *Modyfikowany węgiel*? Otóż dlatego, że został wybrany jako temat majowego klubu książki, na którym zamierzałem się (wreszcie) pojawić. Niestety – okazało się, że znów nie dam rady, bo data koliduje mi z wyjazdem. Ale skoro tak, to postanowiłem, że włączę się do rozmowy, pisząc recenzję do „Informatora”.

Poza tym: czy aby na pewno *Modyfikowany węgiel* można uznać za cyberpunk? Owszem – mamy tu charakterystyczne dla tego nurtu zestawienie *high technology* – *low society*, ale pisarstwo Morgana daleko wykracza poza oklepiane schematy, zaś wymyślony przez niego świat poza Starą Ziemię, na której rozgrywa się fabuła.

Tytułowy *Modyfikowany węgiel* to surowiec niezbędny do wytworzenia stosu korowego – niewielkiego urządzenia połączonego z układem nerwowym, które pozwala tworzyć kopie osobowości. Innymi słowy: jeśli zostałeś zabity, ale twój stos przetrwał, to można cię wskrzesić w innym ciele. Lepiej – jeśli masz wystarczająco dużo pieniędzy, możesz posiadać dowolną liczbę ciał, tak jak w realnym świecie posiada się nieruchomości. Teoretycznie możliwe jest również skopiowanie samej osobowości i egzystencja w dwóch

egzemplarzach, jest to jednak objęte silnym zakazem prawnym i moralnym.

Najbogatsi ludzie mogą w nieskończoność wymieniać starzejące się ciała na młodsze, co pozwala im żyć niemal (?) wiecznie. Ostateczny koniec – prawdziwa śmierć – nadal jest możliwy, ale tylko po zniszczeniu stosu. Nawiasem mówiąc – nawet prawdziwa śmierć nie musi stanowić ostatecznego końca... ale o tym za chwilę.

Główny bohater *Modyfikowanego węgla*, Takeshi Kovacs, nie wychował się na Starej Ziemi. Zostaje jednak na nią ściągnięty i umieszczony w nowej powłoce (ciele) ze względu na wyjątkowe umiejętności Emisariusza Narodów Zjednoczonych (kogoś pomiędzy żołnierzem jednostki specjalnej, ambasadorem i superbohaterem). Człowiekiem odpowiedzialnym za sprowadzenie go jest Laurens Bancroft, przedstawiciel klasy długowiecznych bogaczy, nazywanych przez zwykłych ludzi Mata-mi (od Matuzalema). Stos Bancrofta został zniszczony w wyniku strzału z broni palnej. Bancroft wciąż chodzi po świecie dzięki temu, że zawartość stosu co jakiś czas aktualizuje się w chmurze. Mimo prawdziwej śmierci można go było przywrócić. Bancroft nie wie jednak, co wydarzyło się pomiędzy ostatnią

aktualizacją a morderstwem lub – jak twierdzi policja – samobójstwem. Tego właśnie dowiedzieć ma się Kovacs.

Modyfikowany węgiel czyta się doskonale. To powieść dynamiczna, w wielu miejscach zaskakująca, pełna nieszlachetnych rozwiązań i fascynujących bohaterów. Nie jestem w stanie wskazać w niej żadnego słabego punktu. Postacie są wielowymiarowe, mają bardzo mocno zarysowane charaktery, a ich akcje w przekonujący sposób grają z ich osobistymi historiami. Z przyjemnością przeczytałbym spin-off dotyczący praktycznie każdej z nich.

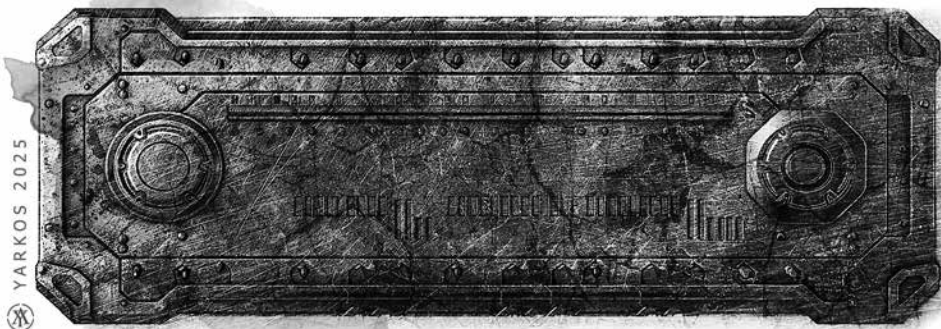
Powieść skonstruowana jest jak klasyczny kryminał: jest detektyw z problemami, jest bogaty klient, jest wątek damsko-męski (dygresja – Morgan znakomicie pisze sceny

erotyczne, co w SF stanowi rzadkość). Im więcej jednak Kovacsowi udaje się odkryć, tym bardziej sprawy się komplikują. Pojawiają się nowe wątki, a akcja przyspiesza. Gdy już wsiąknęliśmy w *Modyfikowany węgiel*, trudno jest się od niego oderwać.

Nie wiem, czy pod wpływem tej lektury na powrót stanę się nałogowym konsumentem cyberpunka, ale wiem, że z przyjemnością przeczytam kolejne części cyklu o Takeshim Kovacsu. Bardzo prawdopodobne, że wrócę jeszcze do niego na łamach „Informatora” i napiszę recenzję całego cyklu. Mam cichą nadzieję, że – pomimo nieobecności na poświęconym tej powieści klubie książki – będę miał okazję porozmawiać o niej z klubowiczami przy innej okazji ■

Refleksja RedNacza...

Kiedyś poruszyłem to zagadnienie w jednym ze wstępniaków. Inspiracją była zresztą nie omawiana tu książka, lecz jakiś film. Postawiłem tam tezę, że delikwent (oryginalny) tak czy siak umiera. Jego życie i świadomość się kończą. Natomiast kopia świadomości rozpoczyna w tym momencie życie – będąc absolutnie przekonaną o byciu oryginałem! Co ma pełne uzasadnienie: zachowane wspomnienia, zachowana osobność, zachowane umiejętności i przekonania. Ta nowa osoba zachowuje się dokładnie tak, jak zachowywałby się pierwowzór (i, jak pisałem, za ów pierwowzór szczerze się uważa). Na tej zasadzie Newton wiodłby dysputy z Einsteinem, Beethoven pisałby n-tą symfonię, Dostojewski dokończyłby Braci Karamazow, a Hašek – Przygody dobrego wojaka Szwejka. Ich bliscy nadal cieszyliby się ich towarzystwem. To wszystko jednak byłyby idealne kopie: świadomość oryginałów dla tychże oryginałów urwałaby się w chwili ich śmierci (pomijam tu religijne koncepcje duszy, by nie skomplikować tego filozoficznego wyводу całkowicie). Może warto by było i o tym kiedyś podyskutować...





ARTUR ŁUKASIEWICZ

OSZUKAĆ PRZEZNACZENIE 6 – CZYLI PRZEKŁĘTA DZIESIĘCIOCENTÓWKA*

Na nową część tej serii nie czekałem; i byłem nawet zdziwiony, że się pojawiła. Wydawało się, że już nic ciekawego nie da się z tej serii filmów wyciągnąć. I wiecie co – zobaczyłem i łknąłem z przyjemnością.

Oszukać przeznaczenie – ta seria filmów ma już dwadzieścia pięć lat. A ta część, która obecnie krąży po ekranach kin, jest już szóstą z kolei. Jej tytuł *Oszukać przeznaczenie: Więzy krwi* sugeruje, że tym razem będziemy mieli do czynienia nie z grupą przyjaciół, współpracowników czy po prostu przypadkowych uczestników – lecz z rodziną, która, według założeń scenariuszowych, nie powinna się w ogóle narodzić, gdyż protoplastka rodu przez prawie pięćdziesiąt lat skutecznie opierała się śmierci. Dobrze – ale do samego sedna tej opowieści dojdziemy za chwilę.

Schemat fabularny jest praktycznie identyczny w każdym filmie. Najpierw mamy do czynienia z pewną grupą osób, która uczestniczy w spektakularnym i bardzo krwawym nieszczęśliwym wypadku. Spektakularnym – bo czymś takim jest katastrofa lotnicza, samochodowy karambol, awaria *rollercoastera*, katastrofa na torze wyścigowym oraz pęknięcie i rozpad olbrzymiego mostu. I to musi wyglądać i działać na wyobraźnię w potężnej skali. Od początku filmu do momentu samej katastrofy główny bohater odczuwa coś w rodzaju przeczucia śmierci: nieprzyjemny chłód, napis na ścianie, nagłówek gazety, piosenka. Cokolwiek, ale warunek jest jeden – musi być tego w nadmiarze. A kiedy zdarza się ów wypadek, bohater umiera jako ostatni. Ale w tym momencie następuje coś w rodzaju szalonego

deżawii i ponownie jest żywy, zaś akcja wraca na kilka dosłownie minut przed wypadkiem. Świadomy, jak może wyglądać sytuacja, we wszelki możliwy sposób próbuje przekonać swoich znajomych, przyjaciół czy współpracowników o grożącym niebezpieczeństwie. I zazwyczaj kilkoro z nich reaguje właściwie. Mogą potem z przerażeniem w oczach obserwować z bezpiecznego miejsca moment wypadku i jego konsekwencje. Mija jakiś czas i... te same osoby, które miały zginąć w wypadku, zaczynają umierać przez wydawałoby się niesamowicie głupie zbiegi okoliczności i przypadki o prawdopodobieństwie bliskim zeru. Śmierć zabija w takiej samej kolejności, w jakiej mieli zginąć uratowani bohaterowie. I za każdym razem, gdy ma się coś takiego wydarzyć, bohater dostaje „wizji” owej śmierci. Czasem są one niedokładne, czasem wydają się być zmyłką. Ale co ma się wydarzyć – jakoś się zdarza.

I może to jest niezdrowe, ale odczuwam (tak jak zapewne większość oglądających), cholerną ciekawość, w jaki sposób scenarzyści doprowadzą do śmierci. A pomysłowość tutaj nie ma granic. W dodatku nie oszczędza się nam wylewów krwi, i rozbebeszonych wnętrzności ofiar. Wszystko jednak podane jest w taki sposób, że – zamiast dostawać skurczów z przerażenia – uśmiechamy się pod nosem. Może dlatego, że rozum podpowiada nam, że w rzeczywistości takie „przypadki”

* Teraz i przyszło na myśl, że może była jednak jednocentówka. Nie przyjrzałem się dokładnie, ale w gruncie rzeczy nie ma to większego znaczenia – ważne, że jest przeklęta.



Oszukać przeznaczenie. Więzy krwi; reż. Zach Lipovsky, Adam B. Stein; USA, Kanada 2025

nie stanowią większości, a nagromadzenie owych niesamowitości śmierci jest tak samo prawdopodobne jak to, że moje kichnięcie doprowadzi do wojny domowej w Mozambiku.

I to właściwie wszystko, co można by powiedzieć o samym filmie. Bohaterowie są tutaj zaznaczeni pretekstowo. Są jedynie figurami, które w ten czy inny spektakularny sposób pożegnają się z życiem. Jednak dwa pierwsze filmy, jak i przedostatni, wprowadzają pewne elementy bardziej „życiowe” do fabuły. Bohater próbuje „kontaktu” z tymi, którzy przeżyli wcześniejszy wypadek. W części pierwszej i trochę w drugiej mamy policję i służby federalne chcące wyjaśnić na swój sposób sprawę. W części piątej policjant w pewnej chwili zaczyna łączyć ciąg przyczynowo-skutkowy, choć akurat tutaj jest to „dziwne”, gdyż opowiedziana nam w piątej części historia to tak naprawdę *prequel* części pierwszej. Przewijają się też w filmach postać „tajemniczego koronera”, który ostrzega grupę walczącą o swoje życie, by uważała (sugerując, że są częścią większej całości). Kim on jest – wyjaśni się w części szóstej. Części środkowe, których

nie wymieniałem, w ogóle nie podejmują tematu szerzej, nie sprawdzają poprzednich historii, choć gdzieś tam słychać w tle o katastrofie lotniczej czy koszmarnym karambolu na drodze. Akcja koncentruje się tylko na walce o przetrwanie i sposobie śmierci.

Nie sposób zauważyć, że Śmierć jest tutaj całkiem realnie istniejącą personą. Bohaterowie się z nią komunikują, próbują „przekupić” śmiercią innej osoby – gdyż okazuje się, że w ten sposób można sobie „kupić życie”. Śmierć to bezwzględny antagonistą i nigdy nie daje za wygraną.

No dobra: opisałem pierwszych pięć części – a co z częścią szóstą?

Właśnie.

Część szósta ma być czymś w rodzaju – poza oczywiście spektakularną katastrofą (tym razem to znajdująca się na wysokości kilkudziesięciu metrów nad ziemią restauracja, która, dzięki pewnej „przeklętej monecie”, zaczyna się rozpadać) – podsumowaniem serii, wyjaśnieniem pewnych wątpliwości i przedstawieniem, jak to się w ogóle zaczęło.



I tu dzieje się coś dziwnego. Nie dowiadujemy się, w jaki sposób oraz kto wy dostał się wraz z bohaterką na zewnątrz. Zresztą uratowani wraz z nią, poza jednym małym czarnoskórym chłopcem, nie są w ogóle tematem filmu, co wyraźnie odróżnia go od poprzednich.

Tematem filmu jest żyjąca pięćdziesiąt lat później rodzina ocalałej z katastrofy dziewczyny, zaś ona sama jest obecnie zdiwaczała babcią całkiem sporej grupki osób. I to ich losy będziemy śledzić na ekranie.

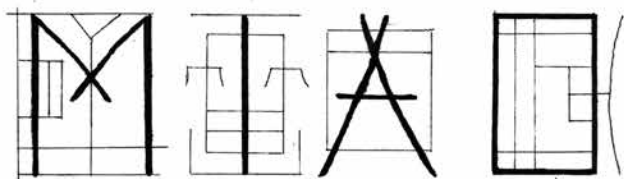
Co prawda nie wyjaśnia się nam, poza paroma słabo wyrażonymi ogólnikami, dlaczego przez pięćdziesiąt lat śmierć nie miała dostępu do babki i w jaki sposób udało się jej, mimo zagrożenia ze strony śmierci, założyć rodzinę i urodzić dzieci. Choć gdzieś tam sugeruje się, że śmierć była „zajęta” innymi uratowanymi. Sugeruje się nam również, że reszta katastrof, które widzieliśmy wcześniej, to pokłosie tej

pierwszej. A elementem łączącym wszystkie śmierci jest tajemniczy koroner, który okazuje się być owym małym chłopcem szczęśliwie uratowanym z pierwszej katastrofy.

Główna bohaterka ostatniego filmu jest studentką college'u, którą dręczą wizje śmierci, gdzie widzi zapadającą się wieżę i śmierć członków swojej rodziny. Musi to wyjaśnić. Wraca więc do domu i próbuje skontaktować się z babcią, zdiwaczałą kobietą, która zamknęła się w swoim schronie niczym w twierdzy. Kiedy kobieta, chcąc udowodnić swoją opowieść, naraża się śmierci i rzeczywiście ginie – to wraz z nią musi też zginąć reszta rodziny (która przecież nie powinna się narodzić). Oczywiście naszej bohaterce nikt nie wierzy. Do czasu.

I wiecie co, jest to wszystko zgrabnie podane, zaskakujące i ciekawe. Ma swoje dziury – ale (jako film mający w założeniu stanowić gatunkową rozrywkę) jest niezły i miło się to ogląda. Choć dla tych, którzy oglądają ten film jako pierwszy, może być w pewnych sytuacjach troszkę niezrozumiały, jednak da się go strawić, nawet nie będąc fanem serii. A ja, niestety, jestem fanem od samego początku. Byłem wręcz przekonany, że po części piątej, która pewne wątki jakoś domyka, nie trzeba już dodawać nic więcej. Bardzo miło się rozczarowałem. Zazdroszczę wszystkim tym, którzy dopiero zaczynają przygodę z tą serią.

Zakończenie filmu sugeruje, jakoby na rzeczy mógłby być jakiś reboot całej serii; ale ja szczerze powiem – już nie chcę. Nie widzę powodu, by kontynuować tę zabawę w na tyle interesujący sposób, by nie popaść w pełną mieliznę rutyny. Wolę zachować w pamięci to, co zobaczyłem do tej pory ■



TOMASZ „QRATOR” MAGULSKI TUESDAY I PTAK ZAGŁADY

Rzadko się zdarza, ale można. Film, który wyłamuje się wszelkim kanonom, intryguje oraz zmusza do refleksji. Pozornie banalna historia, w której jednak odnajduję echa Siódmej pieczęci Bergmana oraz specyficzny klimat poezji Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Dziwne, ale właśnie te dwa elementy nasunęły mi się zaraz po obejrzeniu filmu Tuesday.

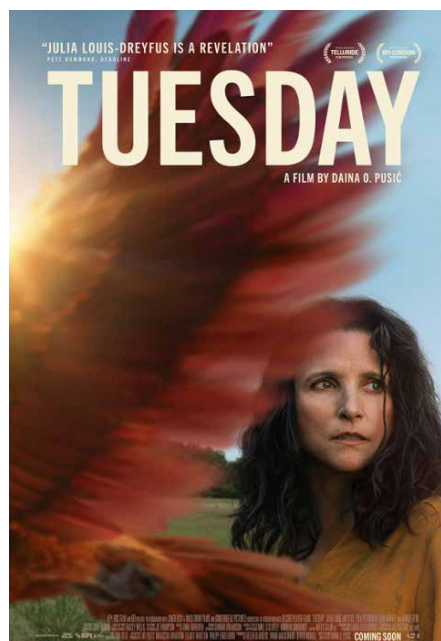
Bohaterów jest troje – matka o imieniu Zora (Julia Louis-Dreyfus), nastoletnia córka Tuesday (Lola Petticrew) i nad wyraz inteligentna gadająca papuga (Arinze Kene jako głos). Tuesday jest niepełnosprawna. Nie wiemy, czy od urodzenia, czy może na skutek jakiegoś wypadku lub choroby. Szybko się orientujemy, że porusza się ona na wózku inwalidzkim, sprawiając wrażenie osoby sparaliżowanej od pasa w dół. Miewa też problemy z oddychaniem – czasem musi korzystać z butli tlenowej. Wiedzie życie przykute do

łóżka. Opiekują się nią matka oraz dochodząca na godziny prywatna pielęgniarka Billie (Leah Harvey).

Matkę i córkę łączą specyficzne relacje. Jest między nimi głęboka więź i miłość, ale także da się wyczuć coś jeszcze. Mamy wrażenie, że obie we wzajemnych relacjach tworzą pewną fikcję, kreując zmyślony obraz rzeczywistości i samych siebie. Robią to z miłości, aby nie ranić siebie nawzajem, ponieważ tak naprawdę obie wiodą życie bez perspektyw.

Ich na swój sposób uporządkowany świat wywraca się do góry nogami za sprawą papugi, która pewnego dnia niespodziewanie nawiedza Tuesday. Ptak okazuje się być... śmiercią. Wyczuwając to – Tuesday wciąga papugę w rozmowę. Nawiązuje się między nimi specyficzna więź. Nawzajem się poznają, tocząc przy tym ciekawe egzystencjonalne, a czasami banalne rozmowy – właśnie stąd to skojarzenie z *Siódmą pieczęcią*. Gdy o wszystkim dowiaduje się matka, sprawy zaczynają się komplikować. Przecież żaden rodzic nie pozwoli, aby jej pociecha zeszła z tego świata. Tylko – czy człowiek może sprzeciwić się śmierci?

O ile na początku klimat filmu był dla mnie dziwny i niezrozumiały, to po jakimś czasie go zaakceptowałem. Przyznać muszę, że reżyserka i scenarzystka w jednym – Daina Oniunas-Pusic (z pochodzenia Chorwatka) – stworzyła widowisko jedyne w swoim rodzaju. Podjęła się opowiedzenia historii trudnej, delikatnej i przynębiającej, jaką jest postawa ludzi





Tuesday; reż. Daina Oniunas-Pusic; USA, Wielka Brytania 2023; Max

w obliczu śmierci. Podała ją jednak w sposób subtelny, lekki i bardzo zwyczajny, bez egzaltowanej rozpacz i niepohamowanej żalości. Przecież śmierć jest nieodłącznym elementem życia. Można zatem o czymś ostatecznym mówić w sposób zwyczajny – podobnie jak o najgłębszych uczuciach mówiła w bezpośredni i lapidarny sposób Pawlikowska-Jasnorzewska (drugie moje skojarzenie).

Tuesday jest filmem brytyjskim. Oznacza to, że niejednokrotnie sięga po specyficzną, brytyjską estetykę (chciałem napisać humor, ale to byłoby przesadą: film nie jest komedią). Ma on swój specyficzny sposób narracji, który jednym się spodoba, a innym nie. Jest kameratealny w swoim wyrazie, zmuszając widza do uważnego śledzenia akcji, a – co najważniejsze – do nieustannego zadawania sobie pytania: co dalej? Tu przyznać muszę, że rzadko zdarza mi się oglądać filmy, których akcja jest całkowicie nieprzewidywalna, a *Tuesday* jest niewątpliwie jednym z nich. W miarę zdobywania kolejnych informacji zaczynamy lepiej rozumieć *Tuesday* i Zorę oraz ich wzajemne

relacje. Zaczynamy rozumieć ich postawy i wybory. Stają się one nam bliższe, lecz cały czas każdą z nich skrywa lekka mgiełka tajemniczości. Nie potrafimy do końca ich „rozgryźć”.

Film trwa niecałe dwie godziny i, przynajmniej dla mnie, był interesującym doświadczeniem. Porusza bowiem trudny temat w sposób bardzo prosty, a nawet (o dziwo) życzliwy. Bez moralizatorstwa, pouczenia i patosu. Mam wrażenie, że reżyserce zależało na zachęceniu widza do przemyślenia swojej postawy wobec absolutu, delikatnie podsuwając mu do analizy motywy, jakimi kierują się Zora i *Tuesday*. Dzieje się to w sposób subtelny, delikatny, momentami wręcz intymny. Tak to odczuwam. Patrząc na ewolucję postaw i relacji matki oraz córki – przekonujemy się, że w życiu trafiają się sytuacje wywołujące skrajne emocje, zmuszające do przyjmowania niezwyklej postaw i podejmowania zaskakujących decyzji ■

Film *Tuesday*, USA, Wielka Brytania 2023, platforma MAX



YARKOS 2025



rys. Jarosław S. Kosiorek (Yarkos)



ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

CZY MOŻE BYĆ GORZEJ?

Zauważyłem ostatnio, że w mojej stercie DVD nadal mogę znaleźć pozycje, których dotąd nie obejrzałem. Konkretniej, sprawił to film *Geostorm* (2017), który najpierw wypatrzyłem w programie telewizyjnym (TVN, 27.05), a dopiero potem się zorientowałem, że przecież mam taką płytę...

Reżyser filmu, Dean Devlin, podaje w jednym, czterominutowym dodatku na krążku, że pomysł podsunęła mu sześciolatnia córka Hannah. Otóż kiedy opowiadał jej o zmianach klimatycznych, ta zapytała: *Czemu nie zbudujemy maszyny, która to naprawi?* To uruchomiło proces twórczy, który zaowocował wizją wypisz-wymaluj jak z pomysłu małej dziewczynki. Tyle że dorośli dodali jeszcze do niej od siebie drugą, mroczną stronę.

Mamy więc, po pierwsze, sieć satelitów kontrolujących pogodę. Sieć zaś jest rozumiana całkiem dosłownie jako uporządkowany układ obiektów orbitujących w stałych odległościach od siebie, przy czym każdy z nich unosi się nad przypisanym mu obszarem na Ziemi (na przykład jakimś konkretnym krajem), mimo że orbity zdecydowanie nie są stacjonarne.

No i na dodatek dowiadujemy się, że pewien konkretny typ regulatora pogody *falami dźwiękowymi spowalnia molekuły i schładza powietrze*. Zaiste zadziwiające – poprzez próżnię?

Mamy też międzynarodową stację kosmiczną zarządzającą siecią satelitów, która ma się do obecnej ISS jak pałac do kurnika. A działa ona w pełnej krasie już dwa lata po premierze filmu. Jakby kto pytał – parę miesięcy i gotowe.

No to przejdźmy teraz do wspomnianej mrocznej strony. Jak wieść gminna głosi za pośrednictwem Internetu, już dzisiaj potrafimy kontrolować pogodę; i to bardziej przyziemnie, w obrębie atmosfery. Przy tym chodzi podobno nie tyle o jej naprawianie, ile raczej o jej pogarszanie nad tymi obszarami, których nie lubimy. W tym kontekście – widząc to, co dziś dzieje się na świecie – należałoby zapytać, czy nie może być jeszcze gorzej. A mądrość PRL-u podpowiada: *Nie może, bo gdyby mogło, to by już dawno było*.

Skoro więc słusznie zaliczyliśmy temat wpływu na pogodę do SF, możemy spokojnie powrócić do filmu. Oto zamrażająca wioska w Afganistanie, podczas gdy całkiem niedaleko panuje upał. Fantastyczne, prawda?



Zamrażająca wioska w Afganistanie z filmu *Geostorm*; reż. Dean Devlin; USA 2017



Hongkong i Dubaj z filmu *Geostorm*; reż. Dean Devlin; USA 2017

Takich efektownych kataklizmów jest w filmie bez liku, a wszystkie one co do jednego wzięły się ze złej woli manipulatorów, których tożsamość pozostaje do czasu nieznana, a ich motywacją jest żądza władzy i chęć wyeliminowania tych państw, które zostały uznane za wrogie. Całkiem jak w zasygnalizowanej powyżej teorii spiskowej.

Na tak zarysowanym tle rozgrywa się bardziej kameralny konflikt techniki i władzy reprezentowanych przez Jake'a Lawsons, budowniczego ISS i systemu satelitów pogodowych, oraz nadzorującego projekt Maxa Lawsons, cierpiącego na tak zwany kompleks

młodsze brata. Ale bez obaw: w godzinie próby konflikt odejdzie w kącie, a pozorni antagoniści staną na wysokości zadania.

Jeśli ktoś lubi wartką akcję, efektowne kataklizmy i dobre aktorstwo, a jest gotów przymknąć oko na cuda na orbicie okołoziemskiej i poniżej – polecam mu ten film bez wahania. Tym bardziej że jest szansa obejrzeć jakąś jego powtórkę w telewizji ■

Geostorm, USA 2017

ocena FilmWeb: 5,5,

krytyków: 3,5, IMDb: 5,3

reżyseria: Dean Devlin

scenariusz: Dean Devlin, Paul Guyot

gatunek: sf, katastroficzny

czas: 1 godz. 45 min.

Obsada: na plakacie od lewej:

Gerard Butler (Jake Lawson, ocena 7,0)

Jim Sturgess (Max Lawson, 6,1)

Abbie Cornish (agentka Sarah Wilson, 6,5)

Ed Harris (Leonard Dekkomm, sekretarz stanu USA, 6,7)

Andy Garcia (prezydent Andrew Palma, 6,3)

Załoga ISS:

Alexandra Maria Lara (Ute Fassbinder, 6,4)

Eugenio Derbez (Al Hernandez, 6,3)

Amr Waked (Ray Dussette)

Adepero Oduye (Eni Adisa)

Współpracownicy Maxa:

Zazie Beetz (Dana, 7,0),

Daniel Wu (Cheng Long, 6,3)

Ponadto:

Talitha Eliana Bateman (Hannah Lawson, córka Jake'a, 6,6)



NAWET ZBÓJ MA SWÓJ ZNÓJ

(EPIZOD JAK NAJBARDZIEJ CODZIENNY)

realizacja: Jan „PiPiDżej” Plata-Przechlewski pomysł: Grzegorz „Ogan” Szczepaniak



125





Wiosną wybierz się w podróż WEHIKUŁEM CZASU



Czy zbrojna ekspedycja Ziemiian podporządkuje sobie kolonistów z planety Chiron? Klasyczna, inteligentna i stylowa SF.



Pierwszy tom opowiadań jednego z mistrzów złotego wieku science fiction



Ponadczasowa opowieść, która doczekała się kilkunastu adaptacji filmowych i teatralnych na całym świecie



Opowiadania wybrane przez samego Dicka, doskonały przegląd jego wizjonerskich pomysłów i niepokromionej wyobraźni



„Przerazająco logiczna, wiarygodna i przynębiająco wizjonerska... Clarke jest mistrzem”.



„Fascynująca lektura, od początku do samego końca, kiedy odkrywasz, o co w tym wszystkim chodzi, i zaczynasz czytać ponownie”.



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



FB/DWREBIS



@dom_wydawniczy_rebis